PIĘKNA NIEWOLNICA.

Czyli Historya rozbicia się na morzu i niewoli Panny Adeliny, hrabianki de St. Fargel, mającey naówczas lat szesnaście, w jedney z prowincyy królestwa Algierskiego, w roku 1782.

(Tłumaczenie z francuzkiego).

(*Historya ta ułożoną została z pamiętników, udzielonych autorowi przez M***, jednego ze stu trzynastu, niedawno wykupionych niewolników, przyłączone są do niey krótkie anegdoty, zamykające opisy różnych męczarni, jakiemi dręczą niewolników, w Algierze, Tunecie, Trypolu i Maroku*).

Na widok bezprawi w towarzystwie ludzkiém, niektórzy czuli i żarliwi filozofowie sądzili, że wypada przenieść stan dziki nad cywilizowany: zdawało się im, że niewiadomość jest nayprzewnieyszą strażniczką obyczajów, które postrzegli zepsutemi w narodach oświeconych. Ci mędrcy zapewne nie wychodzili nigdy z obrębów miast cywilizowanych; nigdy nie dostawali się w ręce owych, niegodnych imienia człowieka, rozboyników morskich, którzy, nie znając zupełnie prawa narodów, równie jak i prawa przyrodzonego, widzą w podobnych sobie istotach, przez siebie pokonanych, same tylko ofiary albo niewolniki. Gdyby światło rozumu natchnęło tym barbarzyńcom nie mieszać głosu sumnienia z głosem religii mahometańskiey; gdyby uprawa umiejętności i sztuk oświeciła ich o ichże własnym interessie; wtedyby, namieysce swoich rozbojow, zaprowadzili handel zyskowny, i w tych, z którymi się obchodzą,

jak z naypodleyszemi źwierzętami, postrzegliby samych tylko braci. Do jakieyże wdzięczności nie mają prawa zakonnicy, którzy, porzucając swoje ustronia spokoyne, puszczają się na burzliwe morze, pomiędzy hordy wpół-dzikie, wiozące pocieszenie i wsparcie dla nieszczęśliwych, jęczących pod ciężarem twardych swych kaydan, wzdychających do swojey oyczyzny i krewnych! Ilużby to szemraniom religia nasza nie nakazała milczenia, jeśliby jey ministrowie okazywali zawsze gorliwość tak stałą, tak bezinteressowną!

Hrabina de St. Fargel pochodziła z jedney z naylepszych familiy francuzkich: wyszła za Hrabiego de St. Fargel, rodem ze Szkocyi; z tego małżeństwa miała córkę, imieniem Adelinę, którey cnota, heroizm i odwaga, służą za naywiększy przykład w ninieyszey historyi.

Przez dziesięć lat, żyła ta para wśród spokoyności i niewinnych uciech; szczęściu jey na niczém nie brakło; rokowała sobie wieczną pomyślność; gdy tymczasem, rozum i obowiązek przyśpieszył jey rozdział. Hrabia został wezwany do hiszpańskiego dworu i wysłany z tayném poruczeniem do króla pruskiego: hrabina została w Paryżu, chcąc być przewodniczką w edukacyi córki, w samym jeszcze kwiecie wieku naówczas będącey. P. de St. Fargel, spełniwszy dane sobie zlecenia, powrócił do Madrytu. Hrabina, uważając, że młoda Adelina będzie mogła znieść przykrości długiey podróży, zamierzyła pojechać do swego męża: opatrzywszy się zatém w potrzebne pasporta, udała się do Marsylii, skąd, dla krótszey drogi, postanowiła płynąć morzem do Barcellony; wsiadła więc na tartanę genueńską, która

wyruszała pod żagle do Hiszpanii, z córką swoją Adeliną, naówczas szesnastoletnią, ze służącym, pokojową i guwernantką.

Podobna do tey żywey latorośli, która nie widziała jeszcze zimy, lecz, pielęgnowana przez biegłą i mądrą rękę, w blasku i świeżości swoich kwiatów, obiecuje i każe spodziewać się naypięknieyszych owocow; Adelina, którey nie zachwiał jeszcze nigdy powiew przeciwnego losu, dawała przeczuwać ze swoich postępkow wspaniałych, ze swojey szlachetney postaci, iż w potrzebie, potrafi wznieść się nad wszelkie złe przygody. Pod tarczą niewinności, gardziła natarczywemi namiętnościami. Jey dusza nieskazitelna, napojona nayczystszemi natury uczuciami, posiadała zupełną swoję energią. Ta historya, w całym swym ciągu, dowiedzie, iż Adelina całkowicie odpowiedziała nadziejom, które o niey były powzięte.

W pierwszych dniach pazdziernika, wyruszyła tartana pod żagle: wiatr pomyślny, trwając przez trzydzieści sześć godzin, już stawił ją prawie na widoku Barcellony: maytkowie obchodzili już swoję podróż szczęśliwą, śpiewami i zwykłemi tańcami; lecz radość ich została wkrótce przerwaną; nagły i niespodziany wicher od lądu, odpędził ich i oddalił od brzegu: długi czas płynęli trzymając się brzegow: nadeszła noc, i zapuszczono kotwicę. Zaledwo zaczęło świtać, kiedy wiatr zmienił się, i myślano o dalszey drodze; tymczasem jakiś korsarz algierski dał się postrzedz na milę od tartany: był uzbrojony dwudziestą działami: kapitan okrętu, imieniem Hallabi, rodem hollender, był renegatem. Wiatr pomyślny pędził, wszystkiemi żaglami, statek kor-

sarza do tartany, która się znaydowała, naówczas, daleko jeszcze od Palamos, i nie było dla niey nadziei ocalenia.

Usiłowano jednak robić, ile mocy, wiosłami; lecz korsarz dał wystrzał z armaty, kulą, i miał już rozwinąć ogień z całego rysztunku, kiedy tartana, nie mogąc się żadnym sposobem bronić, spuściła żagle na znak poddania się. Kapitan korsarski wysłał swoję szalupę z trzemaset turków, dobrze uzbrojonych: ci, aby sobie ułatwić zbliżenie się, kilka razy dali ognia z karabinów, lecz nie znaleźli żadnego oporu: cały ekwipaż przestraszony, skrył się w części spodniey swego statku, i, wśród płaczów, oczekiwał smutnego losu, który dla niego był już nieuchronny. Turcy wszystko unosili: weszli do izby w tyle okrętu, i znaleźli tam nieszczęśliwą Panią de St. Fargel, która całkiem we łzach, zaklinała tych barbarzyńców, iżby darowali jey życie. Postawiwszy straż, poprowadzili z sobą cały ekwipaż genueński, który został natychmiast okuty w kaydany. Hallabi, w towarzystwie ze swoim tłumaczem, odwiedził hrabinę i uczynił jey kilka pytań, jakich wymagała mieyscowa okoliczność. Pani de St. Fargel, pokazawszy korsarzowi pasport, i, po przeczytaniu jego, będąc uznaną za francuzkę, uspokoiła się cokolwiek, kiedy kapitan ją upewnił, iż może być bezpieczną, że wspólnie ze swemi towarzyszami, nie ma się czego obawiać.

Pani de St. Fargel przekładała korsarzowi pobudki, dla których powinnaby zostać odesłaną do brzegów Hiszpanii; że to oszczędziłoby jey wiele trudów, a mężowi śmiertelnych niespokoyności; oraz, że taka przysługa ze strony korsarza, nie zosta-

łaby zapewne bez wynagrodzenia. Hallabi na to odpowiedział: iż, będąc renegatem, nie może wszystkiego tego uczynić, czego ona żąda; że idzie tu o własną jego głowę; że dey algierski rozumiałby, iż pod pozorem pasportu francuzkiego, wykupiono jaką familią jego nieprzyjaciół; iż koniecznie potrzeba, aby się z nim udała do Algieru; że ją stawić będzie dejowi, który na mocy pasportu, odda ją zapewne na ręce konsula francuzkiego; a wtedy będzie mogła obrać sobie drogę naykrótszą i naydogodnieyszą do Hiszpanii. Używszy kapitan wszelkich do uspokojenia hrabiny sposobów, radził jey pozostać na tartanie, upewniając, że tu będzie dla niey spokoyniey i swobodniey, aniżeli na jego okręcie, na którym miał do dwóchset turków, którzy mogliby czasem ubliżyć jey uszanowania. Pani de St. Fargel podziękowała mu i poszła za jego radą. Hallabi wsadził na tartanę siedm czy ośm turków, dla steru, i kazał ją przyciągnąć do swego okrętu, odjąwszy wprzód od niey szalupę, zabrawszy kompasy, dwie główne kotwice i wszelką żywność, prócz tey, która była dla Pani de St. Fargel. W takim stanie rzeczy korsarz puścił się pod żagle i zmierzał ku Algierowi.

Po wielu dniach niepomyślney żeglugi, zostali napadnieni od straszney burzy: wnet zerwała się lina, która ciągnęła tartanę za okrętem: ciemność nocy nie dozwoliła poznać kierunku drogi, przez co statek genueński został nakoniec oddzielony od okrętu. Dowódzca i inni turcy, zupełnie się nieznający na żegludze, zdali się na łaskę morza: wiatry zagnały szczęśliwie ekwipaż genueński na brzegi Barbaryi, na wschód Gigery.... Przybrzeże było już okryte murzynami, którzy, postrzegłszy

tartanę, rozumiejąc, że wiezie ich nieprzyjaciół, zbiegli się, aby nie dopuścić wylądowania..... Zapuszczono tymczasem kotwicę, i dwóch turków rzuciło się wpław, dla powzięcia od mieyscowych mieszkańców wiadomości: jakiby to był kray, do którego przylądowali. Murzyni, wywiedzeni z błędu, dali im żądane objaśnienia i uwiadomili, że są nie daleko Algieru. Za powrótem turków na pokład, dowódzca, mimo spodziewania, widząc się blizkim kresu, do którego dążył, zbyt niecierpliwy, czém prędzey do niego się dostać, nie czekając czasu na podniesienie kotwicy, kazał uciąć jey linę i wyruszył pod żagle. Jakże drogo przypłacił nieroztropność w odrzuceniu ostatniey kotwicy. Wkrótce po odpłynieniu powstała okropna burza: rozhukane morze, długo naigrawszy się z usiłowań i oporu tartany, rzuciło ją na skałę i rozbiło. Pani de St. Fargel i guwernantka, które, nieszczęściem jakiémś, zostawały ciągle w swey izbie, były pierwszemi ofiarami wściekłości bałwanów morskich. Panna Adelina, ze służącym i pokojową, trzymając się, przez cały ciąg burzy, na przedzie statku, została ocaloną. Turcy, sądząc wszystko straconém, puścili się wpław do brzegu i zemknęli w głąb kraju. Służący, widząc morze nieco uspokojone, zrobił, jak mógł, naylepiey, rodzay pewien tratwy, i, wziąwszy cokolwiek żywności, przybili we troygu do brzegu. Pokojowa pocieszała pogrążoną w smutku Pannę de St. Fargel, nieutuloną w żalu po śmierci swey matki; a tymczasem służący Baptyst nazbierał drew i rozłożył wielki ogień dla wysuszenia ruchomości. Posiliwszy się nieco, zasnęli, po długich trudach: sama tylko młoda hrabianka nie spała; wśród zgry-

zot nie mogła zamknąć oczu. Nie upłynęło jeszcze godziny, jak spółtowarzysze jey nieszczęścia zasnęli, kiedy postrzegając na wodzie jakąś rzecz pływającą, zbliża się do brzegu, poznaje swą matkę; głośno zakrzyczy i rzuca się do morza, usiłując ją ratować. Baptyst, obudzony tym krzykiem, widzi swoję młodą panią, która, przytuliwszy mocno twarz do ciała matki, passuje się z wodą; a widząc nastające niebezpieczeństwo, nie wiele myśląc, dopada do niey i wydobywa zpośród potoku, któryby nieochybnie zapędził ją był na skały, gdzie życieby straciła. Wzywa na pomoc Zofii, która z wielką trudnością mogła oderwać Pannę Adelinę od zwłók Pani de St. Fargel: odniesiono ją zupełnie omdlałą: gdy przyszła do siebie, znowu się domagała swey matki, którą służący był schował. Chciała raz jeszcze oglądać szanowne szczątki tey, którą kochała nad życie, i przynaymniey jakikolwiek zrobić jey pogrzeb. Wykopano grób, i ciało Pani Fargel nie było jeszcze przykryte ziemią, kiedy oto nadbiega jakaś tłuszcza barbarzyńców, rzuca się jak wściekła, na te nieszczęśliwe ofiary losu, i razem, wśród żalu głębokiego Panny Adeliny, odkopuje ciało jey matki. Ludzie ci okrutni, chciwi pierścieni, które były na palcach nieboszczki, poodcinali je ostremi krzemieniami, obawiając się użyć do tego swoich nożów, iżby nie skazić ich przytknięciem do ciała chrześciańskiego; potém, dla okazania ostatniey pogardy, wrzucili ciało do morza, powiadając: tak z psami się obchodzą. Powiedli poźniey swoich jeńców obnażonych, nagich, nawet bez koszul, i w tym stanie zniewagi, godnym wszelkiego politowania, zaprowadzili ich

naprzód do chat, zbudowanych u spodu pierwszey góry: przymuszeni iść, wśród chłosty, drogą twardą i ciernistą, byli zupełnie skrwawieni; prócz tłómoczka z własnemi rzeczami, który mieli na plecach, musieli jeszcze, na przemiany, nieść Pannę Adelinę, z którą ci barbarzyńcy łagodniey się obchodzili, zachowując ją na ozdobę seraju swojego naczelnika. Gdy się zbliżali do góry, byli przywitani dzikim radośnym jakimś śmiechem murzynów i krzykami dzieci: psy nawet, dopomagając złośliwości swych panów, podpędzały do nich tych nieszczęśliwych, kąsając i szarpiąc zębami.

Znaydowało się w tém mieyscu do ośmiu chat, zamykających w sobie pięćdziesiąt Murzynów. Były one zrobione z gałęzi drzew i trzciny; mieszkali w nich wspólnie mężczyźni, kobiety, dzieci i bydło. Dano każdemu, z naszych jeńcow, kapotę, pełną nieprzyjemnego owadu; na pokarm zaś kawałeczek tylko chleba z pszenicy tureckiey, upieczonego z mąki przaśney, i cokolwiek wody brudney: spoczynkiem dla nich, jakby dla naypodleyszych źwierząt, była twarda ziemia. Panna de St. Fargel tylko miała podesłane sobie dwie liche maty..... Strzeżono ich oko w oko: dway murzyni, z dzidami w ręku, chodzili za nimi zawsze: bardzo się albowiem obawiali, iżby czasem nie zemknęli, albo żeby przemocą nie zostali im przez kogo wydarci. Barbarzyńcy zebrali się do chaty, gdzie byli nasi nieszczęśliwi, w celu naradzenia się o ich losie: jedni, wedle maxymy swojey fałszywey religii, śmierć im sądzili, aby sobie przez to zapewnić ray Mahometa; inni, dla interesu i nadziei otrzymania wielkiey jakiey summy z wykupu, byli zdania zu-

pełnie przeciwnego. Rozeszli się zatém, nic nie postanowiwszy; na drugi dzień zgromadzili się w większey liczbie, i, w swoich sporach, samą oddychali wściekłością. Wtedyto narzędzia niesłychaney męki, w jednym momencie, były postawione przed oczy naszych biednych francuzów.... Tu gorejący ogień, na pożarcie ich żywcem; tam wzniesione topory na ucięcie im głów; gdzieindziey długie koły żelazne, wbite do ziemi, które ich żywych mają na sobie domordować.... Jeden z tych barbarzyńcow przystąpił do spełnienia okrutnego wyroku, który wydało dzikie ich serce, i trzymał już Pannę Adelinę za włosy; miał już sciąć jey głowę, kiedyBaptyst dał mu poznać przez migi, że śmierć poczyta sobie ona za naywiększe szczęście; ale, że dla samego wykonawcy wyroku wielka stąd wyniknie strata: bo już tem samém niech nié ma nadziei wykupu pieniężnego, jakiby mógł otrzymać za taką zdobycz. Nayzapalczywsi z nich nieco się ułagodzili tą uwagą Baptysta; lecz dzieci i kobiety podwoiły swoje zniewagi. Postanowili więc przeprowadzić tych jeńców do mieszkania szeika swego naczelnika, spodziewając się, że tam będą mogli ich przedać korzystnie pierwszym osobom dworu.... Jakoż, rzeczywiście udali się w zamierzoną drogę: rzeczy ich były złożone na wozie pewnego rodzaju, który, zamiast koni, ciągnęli służący i pokojowa, poganiani nielitościwie od tych barbarzyńców, którzy ich mocno zacinali kijmi. Na pół dnia drogi byli tylko oddaleni od mieysca pierwszego swego pobytu, kiedy spotkali mały oddział Arabów na koniach, którzy, w imieniu sąsiedniego króla, oświadczyli im, iż mają oddać natychmiast jeńców; że w przeciwnym ra-

zie on sam, przyydzie na czele swego woyska, dla odebrania tych chrześcian. Murzyni odpowiedzieli, że się nie boją ani jego, ani jego woyska, choćby się ono połączyło nawet z woyskiem Wielkiego Sułtana; a na dowod tego,co wyrzekli, byliby niewątpliwie pokonali i pozabijali tych Arabów, gdyby ich nie ocaliła szybkość koni, na których siedzieli. Ci rozboynicy nie uznają nad sobą żadney potęgi i władzy, nawet algierskiey, chociaż są umieszczeni w granicach tego królestwa. Żyją w niepodległości, pod imieniem Kabailów (co znaczy: buntowników); a góry Kuku służą im za schronienia, niedostępne wszystkim siłom połączonych wielu mocarstw. Tak więc opłakany był stan tych ofiar nieszczęśliwych, uciśnionych trudami, bez żadnego zostających odpoczynku, wycieńczonych głodem, bez wszelkiego posilenia i wsparcia, wpośród tłuszczy rozhukanych katow, którzy tylko razami kijowemi do nich przemawiali: wszystkie te zwalone na nich nieszczęścia, wśród jedney tylko religiyney pociechy, były jeszcze niczém, w porównaniu z okropnym widokiem, który się stawił ich oczóm. Przechodząc mimo brzegu morskiego, postrzeżono go okrytym pakami i trupami: były to szczątki rozbitey tartany. Barbarzyńcy dopadli do nich z niewypowiedzianą radością; obnażyli zupełnie te ciała, aby zatrzymać dla siebie odzienie, otworzyli paki i zabrali wszystko, co było naymniey uszkodzoném.... Potém, ażeby lepiey zwieważyć zwłoki nieszczęśliwych tych rozbitów, powkopywali w ziemię długie pale, i nie pierwiey puścili się w dalszą drogę, nim ich nie powbijali na nie, chcąc przez to dać poznać nienawiść, ku samemu nawet imieniowi chrześcian.

Co za rozczulający widok, patrzeć na ciała osób naymilszych, tak haniebnie wystawione na niepogody czasu i pastwę zwierząt! Murzyni podzielili między siebie zdobycz i odbywali dalszą podróż. Nim przybyli do rezydencyi szeika, wypadło koniecznie przechodzić przez jednę wysoką górę: nasi jeńcy nieszczęśliwi, byli całkiem znużeni. Murzyni, przyzwyczajeni przebywać podobne mieysca z prędkością, naglili ich, pomimo osłabienia sił, do prędszego postępowania, bijąc bezustannie kułakami. Nakoniec dostali się do zamierzonego celu. Mając ich stawić przed naczelnikiem, dano, dla pokrzepienia się, po kawałku chleba i suszoney ryby. Maleńki jakiś murzynek widząc, że Panna Adelina jeść nie mogła, zdjęty czułością, pobiegł do swey matki, prosząc cokolwiek mleka, którego też zaniosł Adelinie. Nim się doczekano audyencyi u szeika, zamknięto wszystkich trzech jeńców w jedney stancyi. Baptyst, widząc, przy weyściu do jakieyś blizkiey chałupy, trochę słomy, chciał ją podjąć i zabrać: nieroztropność tę o mało nie przypłacił życiem, i, gdyby nie nadszedł jeden Murzyn, właściciel tey słomy, Turek, byłby mu zadał tysiące razow. Zaledwo słońce oświecać zaczęło horyzont, kiedy szeik zapotrzebował jeńców: przyprowadzono ich do niego. Był naówczas w swoim pokoju posłuchalnym, siedząc na sofie, nogi gołe nakrzyż założywszy, bez papuci; długi kobierzec turecki przykrywał podłogę; po końcach leżało po kilka wielkich poduszek: ściany były obficie pozawieszane szablami, pistoletami, fuzyami i t. d.; cały orszak jego podówczas składał się z tłumacza, czausa (dworzanina do posyłek) i dwóch murzynów. Pan-

na Adelina, razem z Baptystem i Zofią, stawiona była w stroju tureckim, mając twarz zasłonioną wielkim welumem; piękna ta dziewica, pełna uczuć religiynych, przewidując dobrze, że młodość jey i piękność, narażą zapewne jey wiarę i niewinność na wielkie niebezpieczeństwa, chciała twarz swoję oszpecić błotem, podrapać lice i ręce: lecz nie mogła tego uczynić, będąc bardzo ściśle strzeżoną przez żołnierzy, naokoło ją otaczających, poleciła się więc tylko Bogu i wezwała obfitemi łzami pomocy Nayświętszey Panny. Do swoich spółtowarzyszów temi przemówiła słowy: „Nie „traćcie serca, moi poczciwi przyjaciele! Nieba nas „nie opuszczą; nie lękam się śmierci, którąby mi „zadali ci ludzie: będą mię oni zapewne zmuszać „do zmienienia religii; lecz nie, umrę raczey, ni„żeli odstąpię tego, com na zawsze przyrzekła „Bogu." Baptyst i Zofia wzmocnili w niey bardziey to uczucie, zapewniając, iż tego samego są postanowienia.

Szeik kupił naprzód Zofią i Baptysta, odsyłając ich natychmiast w podarunku Hallimahalowi, który był pierwszym jego faworytem. Jakże okrutném było to odłączenie! Panna de St. Fargel usiłowała ująć tego barbarzyńca swemi łzami; lecz on, daleki od powzięcia uczuć łagodnieyszych, bardziey jeszcze usiłował okazać się okrutnieyszym; we łzach i smutku tey nieszczęśliwey znaydował nowe powaby; kazał, nareszcie, odjąć jey welon. Uderzony nadzwyczayną Panny Adeliny pięknością, natychmiast wyliczył kupcowi żądaną za nią summę i dał rozkaz iżby ją zaprowadzono do jego pokoju sypialnego. Ofiara ta, drżąc całkiem, oczekiwała nowego pana swego,

który wnet się pokazał. Barbarzyniec ten kazał jey usiąśdź na swojey sofie i wszelkich użył sposobów, aby dodać jey odwagi; czynił wielkie obietnice, chciał ją obsypać podarunkami: lecz Adelina była na to wszystko niemą i oziębłą. W chwili, kiedy w przesadzonym obrazie wystawił szczęście, jakieby mogło ją spotkać, jeśliby tylko chciała być powolną jego chęciom, pozwolił on sobie zbyt wolney z nią śmiałości. Gdy liczne czynił przyrzeczenia, Panna Adelina dumnie odpierała jego przymilania się i natarczywości. Mimo wszelkich przygód, łez i cierpień, które musiała znosić ta piękna Francuzka, nie zmieniła się bynaymniey w szlachetnéy swojey postaci i serca wspaniałego, godnego jey samey, jey urodzenia i jey narodu; dusza jey była niezachwianą; Bóg ją umacniał, a w nagrodę jey cnoty, wlał w nią odwagę, wyższą nad słabość, płci jey pospolitą. Widząc ta zacna Panna, że szeik nowe czynił usiłowania, tak się do niego ozwała: „Barbarzyńcze, okrutniku, co myślisz sobie? czy rozumiész, że ja może „chcę okupić twoję opiekę i wszystkie obiecywane przez ciebie korzyści ceną utraty mey duszy? „Nie, wywiedź siebie z tego błędu; nie mniemay, „iżbym kiedy miała zapomnieć na móy honor; „wiem bardzo dobrze, iż jestem twoją niewolnicą; wskaż mię na prace, nawet na śmierć samą: „bo to tylko jest w twojey mocy; ulegnę temu „przeznaczeniu; lecz nie popełnię nigdy żadnego „przestępstwa, w celu podobania się tobie lub „w nadziei złagodzenia moich nieszczęść.”

Po tych słowach płynął z jey oczu potók łez, które powinnyby zmiękczyć serce tego prześladowcy; lecz cóż, kiedy było ono niedostępném

wszelkiemu uczuciu ludzkości! Zamiast, coby uznał się bydź przezwyciężonym, podwoił swoje nalegania, coraz żywsze i coraz gwałtownieysze. Panna Adelina, przy pomocy N a y w y ż s z e g o, wytrzymywała z nieustraszonością wszystkie te rozmaite natarczywości. Potwór ten, widząc się być pogardzonym, rozjuszony gniewem, wymknął się nagle z pokoju, złorzecząc surowie Adelinie: to, co się dotąd działo, było tylko wstępem do tych walk, które nasza męczeniczka miała poźniey wytrzymywać. Skoro zmierzkło, przyszedł szeik znowu ją dręczyć: lecz znalazł podobnież nieporuszoną, jak zrana: jey krzyki, słyszane nawet zewnątrz pałacu, dowodziły gwałtownego z nią postępowania szeika; i przekonano się, że jey stałość bynaymniey nie była zachwianą, kiedy postrzeżono tego barbarzyńca, jak, cały we wściekłości, ciągnął tę nieszczęśliwą za włosy, po schodach, i zepchnął na dół. Mimo swych męczarni, jakże Adelina była piękną! Twarz jey pływała we łzach; ciało, na pół-nagie, pokryte długiemi, brunatnemi włosami, powiększając jey piękność, którą usiłowano zeszpecić i zatrzeć, czyniło ją bardziey jeszcze interessownieyszą w oczach tłuszczy murzynów. Poczuwając oni w swey duszy jakąś iskierkę litości, dotąd im nieznaney, pierwszy raz zostali obruszeni gniewem przeciw okrucieństwu swojego pana.

Tym czasem szeik, widząc pierwsze swoje usiłowania bezskutecznemi, rzucił się do innego sposobu, zniewolenia serca tey zacney Francuzki. Kazał ją zaprowadzić do pięknego pokoju, przydając murzynkę do usług: często ją odwiedzał, oświadczając tysiączne obietnice, które były bez-

skuteczne; popisywał się niegodnie w jey oczach z tém wszystkiém, co może omamić osoby płci niewinney: przyniosł wspaniałe suknie i drogie kleynoty: jednak Adelina, coraz więcey zagrzewając się do ocalenia swego honoru i swey religii, wszystko to odrzucała, oprócz prośb i przyrzeczeń, któremi się jey ten rozwiązły xiąże, więcey, jak przez sześć tygodni, uporczywie naprzykrzał. Ażeby oddalić od niey te skrupuły (tak on nazywał przywiązanie jey do swoich powinności), kazał przyyśdź jedney młodey chrześciance, która oddawna już zostawała w tym kraju niewolnicą, i dał ją naszey bohatyrce za towarzyszkę pożycia. Ta dziewczyna, bez żadney trudności przyjęła pyszne suknie, które jey przyniesiono i włożyła na siebie. Szeik domierzył swey zwierzęcey namiętności, w obecności nawet Adeliny, która, na ten sromotny widok, zasłoniła oczy i zastawiła się, iż tak rzekę, tarczą niezachwianey swey cnoty. Potwór poźniey oddalił się, rozkazawszy swojey ofierze nieczystey pozostać przy tey, którey nie mógł pokonać, i zalecił, iżby niczego nie zaniechała do pogorszenia tey nieskazitelney dziewicy.

Panna de St. Fargel, zostawiona sama z nową swoją towarzyszką, wyrzuciła jey na oczy nikczemność dogodzenia żądzom szeika, i zbrodniczą niepamięć na śluby, przyjęte na chrzcie świętym. Widząc potem, że serce tey dziewczyny zaczęło się rozczulać, podwoiła zapał do jey naprawienia. Niebo pobłogosławiło temu zamiarowi i zlało na Adelinę pożądaną pociechę, iż widziała tę niewolnicę, chrześciankę, jak poniosła śmierć za naszego Zbawiciela. Nadszedł szeik i bardzo był zdziwiony, widząc się być złorzeczonym przez

tę, od którey niedawno doznał dla siebie ostateczney powolności i faworow; rzekła ona do niego: „Rozwięzły i podły człowiecze, płonieję ze wstydu, żem, na widok twych darow i pogróżek, dozwoliła ci zachwiać cnotę moję: uwiodłeś mą „niewinność, słabość moja jest zbrodnią, która, w „oczach Boga, krwią tylko moją zmazana być może; zaday mi śmierć, a ja ci przebaczę." Szeik rozumiał zrazu, że to było jakiemś udawaniem; lecz gdy postrzegł, iż podarła na kawałki kosztowne suknie i potłukła kleynoty, któremi była okryta, kazał ją natychmiast porwać, i, wobec Panny Adeliny dać jey dwieście razow kiymi, w podeszwy nóg: rozkaz ten był wykonany, i ta młoda chrześcianka wyzionęła ducha, pod koniéc swojey męczarni. Adelina spodziewała się podobnegoż losu: gdy tymczasem, namiętność tego potworu doszła do wyższego stopnia ognistości. Rozumiał, że powietrze wieyskie złagodzi zapewne serce hrabianki; że, pośród przyjemności, stanie się ona mniey twardą i powolnieyszą dla niego. Kazał ją oblec, mimo woli, w bogate suknie, i, wedle mieyscowego zwyczaju, zamkniętą w latarni pewnego rodzaju, pysznie ozdobioney, wsadzić na mulicę i przewieźć do ogrodu jednego ze swoich krewnych: był to starzec twarzy poważney, który, udawszy się na ustronie, prowadził życie rządne, aby przez to zapewnić sobie ray Mahometa. Dokładał on wszelkich starań do zniewolenia tey panny, być przystępnieyszą żądzom jego synowca; lecz niczego nie mógł wymódz na jey sercu: wszystkie pobudki, których używał, były tak czczemi, jak obecność samego jey dręczyciela, wśród występnych jego natarczywo-

ści, które wytrzymywała z wielką stałością. Zaczęła już nieco się uspakajać w domu tego starca, kiedy szeik, zmordowany, iż tak rzekę, niewidzeniem jey przez dwa tygodnie, kazał powrócić do siebie. Adelina, cała drżąc postępowała za swemi przewodnikami do mieszkania swojego ciemiężyciela; znalazła tu Baptysta i Zofią, którym kazał przyyść szeik, spodziewając się, że sługi te zachwieją stałość swey pani. Pochlebiał im obietnicą wolności, jeśliby mogli ją pobudzić do większego powodowania się; lecz wszystko było próżném: owszem, połączenie to ich z Adeliną, uczyniło tylko surowszemi ich troyga, w cnocie i religii. Oddawna pragnęła Adelina przesłać list jaki do konsula francuzkiego w Algierze; ale, prócz trudności dostania skąd pióra, atramentu i papieru, tychto bagateli nieznanych w tym kraju, nie wiedziała, komuby się zwierzyć z posłannictwem: uwiadomiła o swoim zamyśle Baptysta, który oświadczył, iż zna jednego młodego murzyna, o którego wierności może życiem zaręczyć. Adelina uyrzała promień jakieyś na przyszłość nadziei; lecz nie mogła namyślić się, jak, co, i na czém napisać, kiedy oto Baptysta, zamiast atramentu, dał jey kawałek płótna. Nasza piękna i cnotliwa ofiara nieszczęścia, odważyła się zrobić sobie w ręce jakąś bliznę, i wyszłą z niey krwią maczając małą, cienką trzaskę wyraziła na płótnie te słowa: „Jestem córka Hrabiego de St. „Fargel, piastującego teraz jeden z naypierwszych urzędow w Hiszpanii: rozbiłam się na morzu; matka moja utonęła: od dwóch miesięcy „cierpię naycięższą i nayhaniebnieyszą niewolę, „razem z dwoygiem służących. Udziel nam swo-

„jey pomocy; zlituy się nad nieszczęśliwą, która „krwią własną na tym kawałku płótna napisała „pokryjomie ninieysze słowa; *oddawca jego wię„cey ci opowie.*” Baptyst dołożył starania wyprawić posłańca, tak zręcznie, że nikt nie mógł mieć żadnego podeyrzenia. Adelina, aby zostawić sobie czasu do odebrania odpowiedzi, musiała inną nieco grać rolą; być powolną, przez czas niejaki, widokom zbrodniczym swego pana, bez naruszenia atoli swey godności i cnoty. Termin upłynał. Szeik coraz bardziey stawał się natarczywszym: nie było już sposobu odwlekania czasu. Lecz Adelina, tknięta do żywego, dawnieyszą powzięła stałość i postąpiła z tym barbarzyńcem, tak, jak zasłużył: szeik rozjuszony, postanowił wystawić ją na próbę nayokropnieyszą. Rozkazał przygotować stos, i zagroził jey, że każe w jeyże obecności spalić oboyga służących, jeżeli się dłużey będzie opierała jego chęciom.

Adelina nie wiedziała, co ma odpowiedzieć, kiedy Baptyst w te słowa do niego rzecze: „Zbro„dniarzu! domierz już swoich okrucieństw: każ „nas palić, będziemy kontenci, jeśli tylko cnota „naszey pani zostanie nienaruszoną.” Wściekły szeik dobywa swey szabli i byłby go przebił; lecz wstrzymała tego barbarzyńca rękę jakaś reflexya: chciał on uczynić sobie rozkosz z widzenia, jak będą cierpiały te obie niewinności. Zofia i Baptyst okuci byli zaraz w ciężkie kaydany i zawleczeni na mieysce kary: dway murzyni trzymali głowę Adeliny, aby ją zmusić do patrzania na mękę jey przyjaciół. Podłożono ognia pod stos, gdy tymczasem deszcz obfity przeszkodził tey exeku-

cyi. Zaprowadzono męczeników do ich więzienia. Posłaniec nareszcie przybył: bilet Panny Adeliny rozczulił tych wszystkich, którzy byli przytomni jego czytaniu: wszyscy negocyanci złożyli pieniądze na jey uwolnienie.

Gdy się pogoda wyjaśniła, jeńcy znowu mieli być prowadzeni na mieysce swey męczarni, kiedy nadeszła pomoc, przysłana przez konsula. Przywiezli ją dway Oycowie Łaski (Péres de la Merci) opatrzeni w listy od konsula i beja algierskiego, mający przy sobie orszak z sześciu janczarów i Marabuta, czyli kapłana mahometańskiego. Szeik, postrzegłszy zdaleka tę gromadkę, kazał wziąć się do oręża i daley wykonywać karę. Marabut, na czele nowych przybylców, oświadczył szeikowi, że przyczyną jego przybycia, jest dopomnienie się trzech osób francuzkich, które uszły rozbicia się na morzu; że, ponieważ Francya jest w pokoju z królestwem Algieru, ci przeto Francuzi, już i tak nieszczęśliwi, po utraceniu swojey familii i majątku, nie powinni być zatrzymywani, kiedy jeszcze nie postradali wolności i życia. Szeik udał, że go nie rozumie, i, ubliżając uszanowania, jakie był winien temu wielkiemu kapłanowi, powiedział, iż nie zna inney nad sobą władzy, jak tylko swoję, i w tém dał rozkaz oprawcóm, ażeby podłożyli ognia pod stos. Marabut, widząc upor szeika, zmarszczył czoło, i, własną powagą, zakazał, ani się ruszyć katom: jakoż ci rzucili podniety i z pokorą ucałowali rękę duchownika na znak głębokiego uszanowania, jakie mają murzyni dla swoich marabutow. Szeik, widząc swe rozkazy pogardzonemi, podjął podniety, i, jak wściekły, sam chce podpalić stos: ale, nareszcie, ręka

Wszechmocnego długo się zatrzymywała nad tym zbrodniarzem, został w teyże chwili przebity od swoich poddanych, którzy, oddawna już byli znużeni tyranią jego i okrucieństwém. Baptyst i Zofia zostali zdjęci ze stosu i wypuszczeni na zupełną wolność, razem z piękną Adeliną. Oycowie Miłosierdzia zawiezli tych nieszczęśliwych w tryumfie do Algieru, gdzie wsiedli na okręt i odjechali do Hrabiego St. Fargel, który przemieszkiwał naówczas w Madrycie.

Znaydą się może zpomiędzy naszych czytelnic takie, których serce mogłoby upaśdź pod pierwszym attakiem nieprzyjaźnego losu. Niechże przykład cnotliwey Adeliny wznieci w nich odwagę: w razie niebezpieczeństwa niech sobie przywiodą na pamięć tę młodą bohaterkę czystości panieńskiey; niech rzekną do siebie: Adelina, sama, wpośród kraju barbarzyńskiego, osierocona od matki, daleka od swoich krewnych, w wieku pałających namiętności, wystawiona nielitościwie za przedmiot zaspokojenia chuci władcy afrykańskiego, między ponętami dzikiego kochanka a obrazami nayokrutnieyszych i nayhaniebnieyszych męczarni, umiała jednak dochować swojey nieskázitelności i zwyciężyć tego, którego była niewolnicą.

Krótka wiadomość o Algierze, Tunecie, Trypolu i Maroku,

z przydaniem kilku anegdot, zdolnych dać poznać geniusz i charakter ludow tych rozmaitych królestw, mianowicie zaś mąk, które dręczą nieszczęśliwych jeńców.

Algier, stolica królestwa tegoż imienia, jest

jedno z naywiększych i naypotężnieyszych miast Afryki, w Barbaryi. Turcy nazywają go w swoim języku *Dżezair*: leży pod 20° 7′ 15″ szerokości, a 36° 49′ 30″ długości. Zbudowane jest na pochyłości rozległey góry, w kwadrat: domy jego, postawione stopniami, coraz wyżey, przybywającym od morza stawią widok amfiteatru, a dachy ich płazkie zastępują mieysce ogrodow; są one pokryte żyżną ziemią, wydającą obficie zieloność, która, w naszych ogrodach, jest ozdobą nayroskosznieyszych parterow: tamto właśnie, każdego wieczora, zbiera się mnóstwo na przechadzkę i dla użycia wolnego powietrza. Miasto samo jest bez ozdób i placow publicznych; ulice są, ogólnie mówiąc, zgęszczone, nieczyste i bardzo ciasne: przypisują tego przyczynę zapobieżeniu przeciw nieznośnym tu upałom i skwarom słońca, od których łatwiey, w takiego rodzaju ulicach, można się uchronić. Mury tego miasta, z jedney strony są obronne małemi fossami, a z drugiey morzem, mające po końcach wiele wież kwadratowych, równey wysokości; zewnątrz zaś są nastrzępione mnóstwem hakow żelaznych, na które strącani chrześcianie, póty zostają na nich utkwieni, póki nie wyzioną ducha. Karzą tu podobnegoż rodzaju śmiercią Murzyna, który byłby obwiniony o wielki jaki występek. To miasto jest, skądinąd, godném uwagi, dla licznych bram swoich i meczetów. Port jego zamyka się wielką murowaną groblą, która się ciągnie od lądu aż do skały, gdzie stoi latarnia morska; mnóstwo bateryy, z działami spiżowemi wielkiego kalibru, przystęp do niego robią niedostępnym. Twierdza Matifu, która stanowi część przednią miasta z drugiey strony sta-

nowiska morskiego, obronna mocnym garnizonem, napełniona obficie prowiantami i warowna licznemi redutami, tu i ówdzie rozrzuconemi, uczyniłaby Algier niedobytym, gdyby sztuka woyskowa Turków mogła wyrównać taktyce wojenney woysk mocarstw europeyskich. W okolicach tego miasta są ogrody i domy wieyskie: te, lubo są poprzerzynane małemi płaszczyznami, wydającemi mnóstwo płodow, a płoty, bez żadney symetryi, oddzielają różne własności gruntowe każdego mieszkańca: ogrody te, mówię, i domy nie formują jednak przyjemney jakiey i urozmaiconey krainy. Mieysca tuteysze, bardzo często skrapiane łzami i krwią biednych niewolników, są żyźne i obfitujące; można tu widzieć latorośle winne takiey grubości, że zaledwo człowiek może je objąć: winogrona, jak powiadają, są długie na półtory stopy.

Dey panuje w Algierze, jak władzca udzielny: jest on wielkim sędzią cywilnym i kryminalnym, i o wszystkiem ostatecznie stanowi; dziwactwa jego bardzo często są zasadą jego wyroków. Władza ta absolutna Deja nadaje rządowi kształt raczey despotyczny, aniżeli republikański: niekiedy tylko polityka zniewala go, w stanowieniu o ważnych jakich sprawach, i dla ukrycia przed ludem całey rozciągłości swey władzy przywłaszczoney, zwoływać Dywan, który zawsze jednak jest podległy woli tego zwierzchnika. Według zwyczaju u dawnych Rzymian, Deja obierają żołnierze, większością głosów; po obraniu, kładą na niego kaftan turecki i sadzają na mieyscu. Daje on codzień audyencye, w assystencyi czterech wielkich pisarzów; wyroki jego nie pociągają za sobą

żadnych kosztów, lecz także i apellacyi nie cierpią.

Turek, schwytany na jawnym występku, albo przekonany o to przez zeznanie wielu godnych świadków, karany jest wprawdzie, lecz nigdy publicznie, ale w głębi swego więzienia, gdzie zostaje uduszony, lub odbiera bastonadę; zdaje się, przeciwnie, iż nie można więcey nadać jawności w karaniu cudzoziemców, jak to zazwyczay tu bywa. Naprzykład: niech murzyn jaki zostanie przekonanym o kradzież, natenczas, będąc osądzony na ucięcie ręki, przywiązują mu ją do szyi, a ramiona obciążają wnętrznościami zwierzęcemi; potém, nachyliwszy mu głowę do ogona osła, oprowadzają po wszystkich częściach miasta. Stądto wynika, iż kradzież jest występkiem bardzo rzadkim w tym kraju; nawet innych złoczyńców bardzo mało tu się zdarza: jednego tylko wieśniaka trzeba się tu obawiać, i nierozmyślną jest rzeczą iść na wieś, bez dobrego orszaku.

Chrześcianin, nad wszystkich innych, jest tu naygorzey traktowany: Turcy, rodząc się, przynoszą z sobą na świat nieubłaganą nienawiść ku wszystkim czcicielom Krzyża, i nie opuszczają żadney zręczności do nasycenia swey zemsty, którey początku nie są wiadomi. W Tunecie i Trypolu też same są zwyczaje: nic się nie dzieje w jednym, coby się nie praktykowało w drugim. Zazdrośny między sobą własnego wyniesienia się, zrodzeni katami chrześcian, zostają dzikimi niewolnikami swoich złych skłonności, które zawsze im wskazują rozboje morskie.

Dwa są rodzaje niewolników u tych ludow, mianowicie: publiczni, którzy należą do rządu, i

prywatni, należący do szczegulnych obywateli. Ci ostatni mniey lub więcey są nieszczęśliwi, podług charakteru, humoru i chciwości swoich panów. Znaydują się między niewolnikami dowcipy subtelne i przebiegłe: umieją one swóy los złagodzić, trafiając w charakter swoich patronów, zręcznie się stosując do ich dziwactw, uprzedzając ich żądania i naymnieysze chęci, tak, iż pospolicie całkiem zniewalają sobie ich umysły, i często nawet więcey są oni panami, aniżeli sami patronowie: przychodzi do tego, iż niewolnik pali, razem z panem, lulkę, pije kawę z jedney filiżanki, siedzi i jada przy jednymże stole, sypia w tymże pokoju; nosi jednakowe suknie; słowem: wszystko jest spólne między panem a niewolnikiem, wyłączywszy sypialnią kobiet. Szczęśliwy wtedy, zaiste, co do stanu fizycznego, zapomina łatwo o swojey niewoli i nie myśli już więcey o własney oyczyźnie.

Przeciwnie, ci niewolnicy, którzy się nie umieją podobać swemu okupicielowi, są tak w opłakanym utrzymywani stanie, iż wzdychają ciągle do tey chwili, którąby przecięła ich życie nieznośne. Oni to są właśnie, których bezustannie można spotykać na ulicy, dźwigających wielkie ciężary, jakich sam widok zraziłby naszych naysilnieyszych tragarzy; ich to używają, w folwarkach, do naycięższych prac ziemnych, pod dozorem dozórcy nielitościwego, który, co chwila, chłostę zadaje; często padają pod brzemieniem swych ciężarów; będąc ustawicznie znieważani, srodze bici, wystawieni na katownie wszelkiego rodzaju, żywieni i utrzymywani, jak kryminaliści, jęczą boleśnie, i głosem omdlałym, wzywają

litości chrześciańskiey na swoje wsparcie. Ci, których mają w podeyrzeniu, iż są bogaci, albo dobrego urodzenia, doświadczają naysroższego prześladowania od tych barbarzyńców; ci ostatni bowiem, uważają to za jedyny sposob do zmuszenia nieszczęśliwych ofiar, aby się wykupowały, choćby za naywiększą cenę.

Niewolnicy publiczni, na znak swojego stanu, noszą na nodze wielkie kółko; prace ich są dosyć podobne do prac skazanych we Francyi jeńców na galery: oni to pełnią naypodleyszą służbę w domu Deja; używani są do robot publicznych; podczas woyny pracują w obozach i noszą bagaże; w pokoju zaś, zbijają mury, rąbią skały, ciągają sami wozy naładowane gruzem albo materyałami do budowli: na okrętach skarbowych muszą robić wiosłami, i t. d. Wśród tych prac uciążliwych są jeszcze niekiedy okuci w ciężkie kaydany. Pomiędzy tymi nieszczęśliwymi, jeżeli którzy mają cokolwiek pieniędzy, los wtedy swóy mogą nieco złagodzić: zjednawszy łatwiey serce swoich katow, otrzymują czasem przywiley na szynkownią, a tym sposobem zbierają sobie małą fortunkę.

Zastanowiwszy się nad takim losem tych niewolników, nie będzie dla nas rzeczą dziwną, że usiłują czasem, przez sposoby nayśmielsze, wyższe nad ich siły, jakich przebiegłość, samą niedolą obudzona, dostarczyć może, wyrwać się z tak upadlającego naturę ludzką stanu i odzyskać pożądaną wolność. Następująca anegdota jest niezaprzeczonym dowodem nadzwyczayney odwagi tych biednych niewolników.

Niewola w Algierze

i ucieczka z niey wielu znakomitych jeńców, oraz sześćdziesięciu niewolników.

Trzech kawalerów maltańskich i dwóch xięży, wieku dosyć już podeszłego, cierpiało w Algierze, od trzech przeszło lat, to wszystko, co tylko naysroższego może mieć w sobie niewola: Dey, podobny do tych zwierząt drapieżnych, które idą za popędem tylko swego instynktu, poddał się zupełnie dzikości swojego serca, i wyczerpnął wszystkie już sposoby do nasycania swey nienawiści przeciw tym nieszczęśliwym chrześcianom.

Słysząc, dnia jednego, mówiących, chociaż fałszywie, że niewolnicy tureccy, na wyspie Malcie, byli nader srodze męczeni za to, iż się wzbraniali przyjąć chrzest święty: że, uwiązanych do liny, haniebnie ciągały psy, przez dzieci prowadzone, po wszystkich ulicach i zaułkach, aż do małey góry, z którey wierzchołka, strącano ich do morza; Dey ten słysząc to, mówię, wydał krzyk boleści i zaraz zwołał Dywan, który tey nowinie nie chciał bynaymniey wierzyć. Barbarzyniec atoli, pomimo zdania wielu rozsądnieyszych tey wielkiey rady, posłał po dwóch, wyżey wspomnianych, duchownych, i skazał ich, niby prawem odwetu, na spalenie żywcem; rozkaz ten, jakkolwiek nadto surowy, został natychmiast spełniony. Podobnie, jak naypodleysi kryminaliści, mając głowy i nogi zupełnie nagie, ręce wtył związane, otoczeni wyuzdaném pospólstwem, szanowni ci starcy, byli prowadzeni za miasto, wśród ciężkiey chłosty, na mieysce swojey męczarni. Gdy przyszli do stosu, obadwa zacni męczennicy objęli się nawzajem, u-

klękli potém, i, wznosząc oczy ku niebu, odmówili swoję modlitwę, i dali sobie nawzajem rozgrzeszenie; nakoniec, z tém czołém wypogodzoném, z tą twarzą łagodną i spokoyną, która znamionuje prawdziwych męczenników religii chrześciańskiey, zostali przywiązanymi do nieszczęsnego słupca. Dzika chałastra, skwapliwa widzieć ich gorejących, sama podniecała ogień, z jakimś srogim zapałem, owym to smutnym udziałem serca każdego barbarzyńca. Odzienie tych godnych naywyższego szacunku starców zaczęło się już palić, kiedy usłyszano niespodzianie głos czausa (tak się nazywa dworzanin u Porty, używany do różnych posyłék), który, rozpychając pospólstwo, wołał: Łaska! łaska! Pacyenci byli natychmiast usunięci z ognia i zaprowadzeni do Deja; lud jednak, więcey rozjątrzony, niżeli kiedy, tym odwołaniem, dał nieszczęśliwym uczuć cały swóy gniew, tak, iż ciężko chłostani od niego żelaznemi papuciami, wycierpieli nową karę, wśród którey dodawali sobie wzajemnie odwagi, wołając: Móy Boże, racz się zmiłować nad twymi sługami wiernymi. Przybyli nakoniec, posiekani, iż tak rzekę, razami chłosty: Konsul francuzki, ich wybawiciel, był wówczas u Deja, usiłując jeszcze wyrobić u niego uwolnienie tych biednych od bastonady, którą postanowiono zamiast kary spalenia na stosie; okuci w ciężkie łańcuhy zostali odprowadzeni do więzienia. Jak wielkie było zdumienie trzech kawalerow maltańskich, kiedy się obaczyli znowu ze swoimi przyjaciołmi, których już opłakiwali! Razem ich pięciu jęczało w głębokiem podziemiu Alkassawy, do kolan w wodzie, otoczeni owadem i nieczystemi zwierzętami, które im wzbraniały u-

żyć tego trochę chleba i wody, które dawano im dla tego tylko, ażeby nie umorzyć. Naprożno szukali ulgi: jeżeli kogo posłyszeli, wstrząsali kaydanami, aby rozczulić przechodzących i dać im poznać stan nieszczęśliwy, w którym zostawali. Tracąc, nareszcie, wszelką nadzieję wykupu, przywiedzeni w swey niedoli do ostateczności, doświadczyli, jeszcze raz, sposobu do wybawienia się od tey katuszy. Jakoż, sposobną do tego okoliczność podał im sekretnie Hollenderczyk Worser, od piętnastu już lat niewolnik swobodny w Algierze. Poradził im, iżby się tylko mogli dostać do brzegu morskiego, w tym to dniu, i o tey to godzinie, a on będzie na nich tam czekał i wskaże pewny sposób ocalenia. Posłał z taką poradą umyślnego, który miał też z sobą kilka napilników do rozcięcia łańcuhow, i kilka big żelaznych, któremiby pomógł im przebić mur więzienia. Trudno jest wyrazić radość nadzwyczayną, jaką byli zdjęci nasi nieszczęśliwi, odebrawszy tak pomyślną nowinę. Natychmiast, nie tracąc czasu zakreślonego, zaczęli przerzynać kaydany i mur przebijać. Dobroć Naywyższego, która lubi czasem doświadczać prawey niewinności, sprzyjała ich ratunkowi. Wnet, pośród dogodney dla siebie ciemności nocy, wychodzą z więzienia i ruszają wprost do brzegu morskiego, na godzinę i mieysce przeznaczone; lecz nie widząc nikogo, ktoby dopomógł ich zamiarowi, który tak szczęśliwie zaczęli, nie wiedząc oraz, czego się jąć mają, postanowili udać się do Marabuta, wyłożyć mu bardzo sprawiedliwe pobudki, które skłoniły ich do ucieczki, i błagać łaski jego za sobą, ażeby wyjednał przebaczenie dla nich u Deja.

Szli do mieysca upatrzonego przytułku, kiedy jakiś szelest głuchy obił się o ich uszy; lękając się, azali nie jest on znakiem wysłaney za nimi w pogoń straży, zeszli natychmiast z drogi; lecz Hollender dał się poznać, biegąc i wołając: „Ruszaycie, ruszaycie za mną, przyjaciele kochani.“ Worser był na czele sześćdziesięciu z górą niewolników. Nasi biedni ludzie, poznawszy swego przyjaciela, przyłączyli się do jego orszaku, który wnet stanął nad brzegiem morza.... Zerwawszy liny, przywiązujące mnóstwo szalup, wsiedli do nich i nagle dostali się do jakiegoś okrętu angielskiego, który tu nie dawno przybył i był jeszcze nierozbrojony. Anglicy bynaymniey nie mieli się ku odporowi: tymczasem, nieustraszony Worser porywa topor, sam ucina linę kotwiczną, i, gdy wielu z jego towarzyszow krząta się koło sterowania i przygotowań do wyruszenia, on, przy czynney pomocy, staje się panem ekwipażu, który już szedł do broni. Upewniwszy kapitana, że niczego nie robią w myśli nieprzyjacielskiey; że szukają tylko swego ocalenia; nabija natychmiast armaty: odważnieysi z jego towarzyszów uzbrajają się karabinami, i, śmiałém czołem oczekują swoich nieprzyjacioł. Jutrzeńka poranna już zaświeciła, kiedy ucieczka ich została poznaną: Turcy siadają w szalupy, usiłując przypłynąć do okrętu; lecz, przywitani mocnym ogniem, jedni zatonęli ze statkami w morzu, drudzy powrócili do brzegu: znalezli tu Deja, który, z szablą w ręku, zdawał się tylko oczekiwać na ofiary, które osobiście chciał poświęcić swojey wściekłości. Widząc stan opłakany Turków, którzy się ocalili, każe wyruszyć pod żagle dwóm galiotom, uzbro-

jonym do drogi, na które siadło 200 żołnierzy: za nadeyściem dopiero nocy doścignęły one okręt angielski, lecz wytrzymała odwaga naszych jeńców, zmusiła je do odstąpienia. Ciemność nocy sprzyjała uciekającym od tego mieysca, które tak często skrapiane jest krwią niewinnych chrześcian; po trzech dniach żeglugi, przybyli oni, zdrowi i ocaleni, do Majorki. Anglicy, czuli na wyrażenia żywey wdzięczności tych uratowanych jeńców, byli sowicie wynagrodzeni za szkodę, którą mogło uczynić opoźnienie w wyprzedaży towarów okrętowych: cóż albowiem wyrównało dla nich tey roskoszy, jaką powzięli z okazanego przez siebie czynu dobroczynności!

Męczarnie,

któremi dręczą niewolników w królestwie Maroku.

Mároko, jedno z naywiększych państw Afryki, leży w części zachodniey Barbaryi; to królestwo, mogące mieć 250 mil długości, a 140 szerokości, nie jest bardzo ludne; ziemia jego, w niektórych częściach, piaszczysta, sucha i niewdzięczna, obfituje tylko w kopalnie miedzi; ale prowincya, leżąca na wschód, wydaje wiele zboża, jarzyn i owoców wszelkiego rodzaju, któremi mieszkańcy prowadzą wielki handel. Liczą tu więcey, jak 400,000 krajowców, religii mahometańskiey. Kray ten podzielony jest na wiele aduarow, gatunek wiosek przenośnych, które, za pomocą wielbłądów, można przewozić, gdzie się podoba; prócz tych aduarow, da-

je się widzieć wielka liczba małych miasteczek, więcey cywilizowanych, niżeli tamte, lecz także wyższey demoralizacyi. Miasto Maroko, stolica królestwa, zbudowane na wielkiey równinie, może zawierać 30,000 mieszkańców, nie licząc w to niewolników chrześciańskich, renegatów i żydów; ci ostatni są tu w daleko większey rozsiani liczbie, aniżeli gdzieindziey. Król tego państwa rozległego ma tu swoję rezydencyą; tuto właśnie jest teatr jego okrucieństw. Zapragnie mu się krwi? Nateuczas sam osobiście jest wielkim ofiarnikiem, i zapędy swey zapalczywości kończy chyba tylko śmiercią wielu niewolników. Następująca anegdota, nanieszczęście, bardzo dostatecznie przekona o tém, czegoby wszyscy pisarze nie życzyli sobie bynaymniey opisywać.

Stan jeńców, w królestwie Maroku, był niegdyś podobnym do tego, w jakim zostawali inni chrześcianie, w różnych częściach Barbaryi. Położenie ich rzeczywiste dzisiay jest wcale odmienne; są pod bezpośrednią władzą króla, który, idąc tylko za popędem swego okrucieństwa, interessu albo rozkoszy, dla siebie tylko ich chowa. Na wzór swoich poprzedników, xiąże ten tak jest podeyrzliwy, że (jak się często zdarzało) trudno bardzo wykupić niewolników, chyba dwa razy opłacając swobodę tegoż samego. Czyni on sobie rozrywkę, patrząc na prace tych nieszczęśliwych jeńców, i ma zabawę z ich kar. Szczególnieyszą jego passyą jest widzieć cierpienia tych biednych ludzi, którzy rozbijają, obalają i znowu rozbijają długie ściany murow, wysokości nadzwyczayney; naywiększą ma uciechę,

kiedy obaczy ślady zbroczone krwią tych nieszczęśliwych, którzy, nagiemi nogami, obciążeni kaydanami, muszą wznosić na górę materyały potrzebne do budowania.

Inni są przeznaczeni na rudelników do okrętow rozboyniczych: również traktowani niegodziwie, jak drudzy jeńcy, muszą jeszcze, z samemi łotrami morskimi, podzielać wykonywanie rozkazow barbarzyńskich swojego dowódzcy; jedną z ich kar naydotkliwszych, jest, bez wątpienia, przyczyniać się do nieszczęścia innych, którego sami doświadczają. Los niewolników, skazanych do uprawiania roli i prac ogrodowych, byłby jeszcze, jak się zdaje, znośnieyszy, gdyby nie byli dręczeni okrótną bastanadą; naymnieysza jakaś nieostróżność, jak naprzykład, zerwanie owocu, stałaby się przyczyną do ich okropnych męczarni: wrodzone albowiem okrucieństwo tym barbarzyńcom, łączy się jeszcze z brudném łakomstwém: z wielką niechęcią zostawują oni jeńcom zepsute albo zgniłe owoce, które z drzewa spadają.

Nie raz widziano Deja, jak, zapominając o swojey godności, zstępował ze swego tronu, i, z dzidą w ręku, szedł sam przewodniczyć pracom, które z kaprysu dziwacznego nakazywał tym nieszczęśliwym. Chrześcianie są wystawieni nie tylko na wściekłość tego xiążęcia, lecz jeszcze stają się często ofiarami jego rozrywek: nie raz, chcąc się popisać swoją zręcznością, ścina głowy niewolnikom; kto pierwszy nawinie się, winny, czy niewinny, zostaje przedmiotem tey dzikiey zabawki.

Muley-Zidan (*powiada jeden historyk*) był

tak okrutnym i zwierzęcey dzikości, że, w piątym roku swojego wieku, dał już poznawać swóy humor krwiożerczy. Dnia jednego, gdy murzyn Melek niósł go na swych ramionach, mały ten potwór, z samey natury już barbarzyniec, spotkawszy wieśniaka, prosił o szablę, którąby mu uciął głowę: przewodnik jego przekładał całą niedorzeczność takiego żądania: podobny postępek, mówił, nie jest godny Szeryfa; lecz ten nie przestał nalegać, i, mocą krzyku, jako też pogróżek, że się będzie skarżył Królowey, swey matce, wymógł to, iż dano mu jego szablę. Zaciął nią wieśniaka, który miał tę przytomność umysłu, iż natychmiast padł na ziemię i został niby bez duchu. Muley, widząc krew płynącą, sądził go być już zabitym i daley odbywał swoję drogę, z wielką radością. Nabrał był tak wielkiego nałogu do zabijania, i popełniał tak niesłychane okrucieństwa w swoim seraju, że jego kobiety nieustraszone, widząc same siebie w niepewności o życie, udusiły go w łóżku. Lecz takato jest moc charakteru tych krwiożerczych despotow, że ten smutny koniec jednego z ich poprzednikow miał wpływ nie na zmnieyszenie, ale raczey na powiększenie ich nieludzkości i ich okrucieństwa.

Więzienie, w którém zamykają niewolników, leży w środku miasta, w mieyscu nazywaném *Kanot*; każdy ma udzielną, małą stancyykę, zrobioną własnemi rękami; całém jey przybraniem jest licha mata, rozesłana na ziemi, która służy za pościel. Każdy naród ma swoję kwaterę i zwierzchnika, który, z własney powagi, może kazać niewolnika ochłostać. Wszyscy niewolnicy

są pod dozorem przełożonego, mieszkającego przy weyściu do Kanatu; bardzo ściśle oblicza ich z rana i wieczorem, będąc obowiązany płacić Królowi wielką summę za tych, którzy uciekną: woda i chleb jest całem ich pożywieniem, chyba, że coś mogą sobie zarobić przez umiejętność jakiégo rzemiosła. Chleb ten tak jest nędzny, iż zaledwo go psy jeść mogą. Widziano czasem tych nieszczęśliwych, jedzących ziemię, lepszą podobno nad ten chleb, a innych skazanych na śmierć za to, że się ośmielili skarżyć przed Królem na srogość swoich dozórców. Tak okrutne postępowanie z nimi natchnęło dwóm Francuzom myśl ocalenia siebie; lecz, po wielu trudach i niebezpieczeństwach, byli znowu poymani u bramy Mazaganu, należącego wtedy do Portugalczyków; w chwili, kiedy prowadzono ich na karę, zostali wykupieni; jak to obaczymy przy końcu tey anegdoty.

Ci dway Francuzi, opatrzywszy się tylą żywności, ile jey każdy z nich u nieść zdołał, mając za przewodnika samą tylko gwiazdę północną, udali się w drogę, przez pustynie i lasy, unikając wszystkich gościńców, i nie zbliżając się, ile można było, do aduarow; aby lepiey utaić swoję ucieczkę, szli tylko nocą.

Minęły już cztéry nocy ich podróży, kiedy trzeba było przechodzić pośród wioseczki, zawierającey dwa tysiące chat murzyńskich. Spodziewali się, że ciemność nocna będzie do tego sprzyjała; lecz oto psy, szczekając, rzuciły postrach po całey wiosce, i wielu Murzynów wyszło przeciw naszym podróżnym, pytając się dokądby dążyli. Jeden naystarszy wiekiem, mówiący

dobrze po arabsku, rzekł z odwagą: idę wypełniać rozkazy królewskie. Smiałość ta w odpowiedzi ocaliła ich przecięż. Ruszyli zatém w dalszą drogę: po kilku dniach zaczęło niedostawać im chleba; wkrótce ci nieszczęśliwi musieli żyć samemi tylko roślinami i liśćmi drzew, które znaydowali po skałach; lecz nareszcie i tych słabych zasiłkow im zabrakło, kiedy weszli na te góry, które, wznosząc się jedne na drugich, zazierają swojemi wierzchołkami, w kształcie piramid kończącemi się, aż w same obłoki. Dwa dni przebywali te okropne opoki, i, po długiey a przykrey drodze, przez różne przepaści, stanęli o samym świcie, u weyścia do jakiegoś aduaru. Postanowili cofnąć się z drogi, kiedy naymłódszy z niewolników, nie mogąc dłużey opierać się głodowi i pragnieniu, które go pożerały, zamierzył na wszystko się ryzykować, byleby otrzymać jaki zasiłek: już był podszedł do bramy i miał weń zapukać, kiedy towarzysz mocą go od tego wstrzymał; ile mogli zatém, oddalili się od tego mieysca, a idąc coraz daley, powzięli nakoniec jakąś nadzieję, na widok wielkiego miasta, które postrzegli z wynioślejszego mieysca. Radośni bliskością tego celu, do którego tak bardzo pragnęli zdążyć, ośmielili się, przynaymniey na ten raz, iść wśród dnia, aby czém prędzey zapewnić już sobie ocalenie. Jakże drogo kosztowała im ta nieprzezorność! Jeden z murzynow postrzegł ich zdala i narobił hałasu po całey wiosce. Barbarzyńcy zaraz się rzucili w wąwozy, i w chwili, kiedy nasi nieszczęśliwi widzieli już kres swojey niedoli, zostali otoczeni i wzięci w niewolę. Jeńcy, których nadzieja nazawsze zni-

kła, doświadczyli obeyścia się z sobą od tych niewiernych wcale łagodnego: ci ostatni albowiem bynaymniey podróżnych nie krzywdząc, a widząc ich znużonych zupełnie głodem, pragnieniem i trudami drogi, dali im po kawałku chleba i trochę winogron. Zaprowadzono ich potém rządcy miasteczka, który kazał tych nieszczęśliwych okuć i odprowadzić do Maroku, gdzie przybywszy zostali wtrąceni do więzienia: wnet potém przyszło dwóch oprawców, aby się stawili do Króla, który kazał dać im dwieście kijow i spalić żywych. Ten wyrok okrutny już zaczął być uskuteczniany, kiedy oto negocyanci francuzcy, tknięci ich nieszczęściem, ofiarowali okup: był on przyjęty, i nasi biedni Francuzi uyrzeli się być wolnymi wtedy właśnie, kiedy już polecali Bogu swoje dusze: po kilku dniach wsiedli na okręt do Marsylii, i już mieli odpłynąć, kiedy nieprzewidziany wypadek zatrzymał ich w porcie. Jakiś bowiem Hiszpan, niewolnik jednego z dworzanow, znalazł sposób wsliznąć się do okrętu: gdy tę jego ucieczkę odkryto, zatrzymano natychmiast okręt, który wnet na rozkaz samego Króla, był ściśle przetrząsany; wszystkie zakątki, kryjówki i stancye, były z gruntu rewidowane; ale napróżno: Hiszpan bowiem został schowany w beczce na pół z wodą; a ponieważ maytkowie toczyli z niey jednak, przeto Turcy nie mieli żadnego podeyrzenia i powrócili na ląd. Okręt odpłynął, i po pięciu dniach żeglugi, stanął w Marsylii.

Koniec i zamknięcie piękney Niewolnicy.

Wielbmy Naywyższą Opatrzność i szanuy-

my Jey nawet naymnieyszą wolą. Niech tyle okrucieństw, popełnianych u tych narodów, naszych sąsiadów, powiększy w nas miłość, którą dobry poddany winien jest swojemu Królowi. Szczęśliwi europeyczykowie! przywykli od dzieciństwa waszego do posłuszeństwa swoim łagodnym i ludzkim Panom! wiek wasz jest wiekiem radości i dobroczynności.

Słysząc o męczarniach, jakie dręczą tylu waszych braci, jęczących pod jarzmem tych azyatyckich barbarzyńców, łzy ronicie. Łzy wasze, wasze poświęcenia się nie wystarczają. Osuszcie więc te łzy, które wam wyciska los upadlający spółrodaków; jałmużny tylko wasze, częściey i obficiey składane, mogą osłodzić stan tych nieszczęśliwych i ich okupić. Winni to dla nich jesteście. Wszakżeto oni, dla zaspokojenia waszego zbytku, waszey zmysłowości, puszczając się pośród bałwanow burzliwego morza, postradali swoję wolność i zostali ofiarami waszych namiętności i wymysłow smaku waszego.

Bracia, czytelnicy! szanuymy mądrość naszych Królów: sprawiedliwość jest pochodnią ich serca, a w ich wyrokach przebywa sama roztropność. Połączmy się wszyscy, tworzmy jedno nierozerwane towarzystwo, i, pośród tego mnóztwa zakładow, codziennie się wznoszących, niech postrzeżem podźwignioną świątynią ludzkości, skarbnicę jałmużny całey Europy: wtedy to napełnione złotem i srebrem skrzynie, naypewnieysze pokonywacze azyatow, powrócą wolność tysiącom naszych spółbraci, którzy, oddani nanowo swoim familiom, wzniosą nam w swoich sercach pomniki honoru i chwały.

Tłumaczył Mikołay Roszkowski.

POEZYE.

Wyjątki z Pieśni I poematu Edgar, przez Adama Słowikowskiego.

Zabrzmiał między skałami wdzięczny flet górała —
Słyszę nayczulszą piosnkę — echo ją oddala!
O ty człowieku gminny! zayrzę twego losu —
Nieznana tobie rospacz, ani żal dotkliwy;
Nie doznało twe serce okropnego ciosu,
Mieszkańcze tych mieysc dzikich! tyś stokroć szczęśli- (wy.
Dla ciebie postać świata zawsze jest wesoła.
Kochający pastérkę, wzajemnie kochany,
Troskami duszy nigdy nie zasępiasz czoła,
Smutek dla ciebie nieznany!
Jak strumień cicho płynie, tak pędząc wiek młody,
W złączeniu się z swą lubą nie doznasz przeszkody!
Tobie chwila za chwilą spokoynie ucieka;
Nawet u bram wieczności pomyślność cię czeka!
Przyjaciele mogiłę twą krzyżem oznaczą,
Oni łzy niezmyślone wyleją po tobie!
Niewinne dziatki twoje z rodziną zapłaczą,
Na stroynym murawą grobie!

(*po chwili zamyślenia.*)

Wkrótce z różannym włosem jutrzeńka powstanie,
Z pałaców oceanu słońce się wychyli.
Przenikając światłem wszędzie
Oświeci góry, lasy, parowy, otchłanie,
I mieysca, gdzieśmy nieraz o szczęściu marzyli!
Ale już nigdzie Edgara nie będzie!
Smiertelnicy! mogiły mojey nie znaydziecie.
Nikt jey nie uczci łzami rzewnemi,

Nikt nie przysypie i garstką ziemi,
Nikt! — choć to zrobić zechcecie.

Śpiéw.

Tu drzewo każde, krzewina,
Skały i wzgórza zielone,
Wszystko ciebie przypomina
I chwile z tobą spędzone!

Codzień piękna wschodzi gwiazda,
Promieniami świat pozłaca;
Do swego ptaszyna gniazda
Zawsze wieczorem powraca!

Lecz radości wiek dziecięcy
Niezwrótny gdy raz porzuci,
I szczęście ubiegłe więcey
Podobno nigdy nie wróci!

Widziałem niedóyrzany, o moja kochana!
Gdyś smutkiem udręczona, wspomnieniem nękana,
Tam nad Wokluzy ponikiem
Z swym błądziła miłośnikiem!
O zachwyć się urokiem Italskiego nieba,
Pamięć przeszłości słodkiey stracić nam potrzeba!
Niechay cię uspokoją wielbiciele twoi,
Niechay dręcząca serce burza się ukoi!

(*z gniewem.*)

I czemuż mię jeszcze pytasz
Dla czego jestem tak smutny?

(*z żalem*)

Chyba w mém sercu nie czytasz
Lub nie znasz co los okrótny!
Gdy mi niebo niełaskawe
Nawet nadziei zayrzało,

Długo sączyłem łzy krwawe
Lecz i łez więcey nie stało!
Pomiędzy błonia, pomiędzy jary,
Płynie źródeł woda cicha;
Lecz, gdy je zniszczą słoneczne żary,
Woda w tych mieyscach wysycha.
Drzewo w głębiny fali rzucone,
Równie jak kamień twardnieje:
Serce rospaczą, żalem trawione,
Burzy się, niszczy, drętwieje!

Pod grobowém cyprysu raz siedliśmy drzewem,
A niepomni na chwilę niedoli doznaney,
Zachwycając się ptasząt melodyynym śpiewem
Mówiliśmy o naszey oyczyznie kochaney!
Tam budząc myśli, uczuć, dni zbiegłych wspomnienia,
Słaliśmy do niey tylko gorące westchnienia!
Ach czemuż pośród obcych i na obcey ziemi,
Nie rozstałem się z życiem, z troskami mojemi!
Powróciłem do kraju, do tych mieysc rodzinnych,
Które widziały miłą porę lat dziecinnych.
Jakaż smutna posępność w ustroni przebywa,
Jak ta, co na cmentarzach siedliska zakłada!
Kędyż moja spokoyność, gdzież dawne wesele,
Gdzież moja młodość, gdzież są moi przyjaciele?
Gdzież są? echo odpowiada,
I znowu wszystko w głuchey cichości spoczywa!

O gdyby mógł kto zayrzeć do głębi mey duszy,
Poznać tam walkę uczuć, srogość tey katuszy!
Lecz nie!... nawet i cienia ludzie nie poymiecie
Moich udręczeń bez miary!
Ja tylko gorycz piję z życia mego czary,

Ja błądzę jak pustelnik po samotnym świecie!
Jestto świat mych pamiątek, mego udręczenia!

(*po pauzie*)

Ty równie przebiegając młodości swey drogę,
Szukasz czego ja szukam i znaleźć nie mogę!
Pragniemy spokoyności, lub trosk zapomnienia.

Znowu między skałami zabrzmiał flet górala.
Słyszę czarowną piosnkę! echo ją oddala!
Ach czemuż ja tym dźwiękiem znikomym nie jestem?
On w powietrze uleci z drżeniem się rozpłynie!
Czemużem nie powiewem, co z lubym szelestem
Ginie na kwiatów łonie w spokoyney dolinie?

Błąkałem się po świecie, w oddalonych krajach,
Po górach, po jaskiniach, po samotnych gajach,
Marzyłem, jak się lube płomienie zajęły;
Marzyłem o tych chwilach co wiecznie zniknęły.
Lecz żaden kray powabny piękności cudami,
Już nie zdoła zachwycić, oczu mych nie mami!
Nie znam, co to są roskosze
Ciągłey doznając tęsknoty,
W duszy piekło cierpień noszę
I widzę świata przedmioty.
W podobney myślom żałobie,
Tak, czuję że spokoyność znaydę tylko w grobie.
Sród miast zgiełku, śród ustroni,
Wszędzie rospacz za mną goni,
Zawsze mię ciągłe ściga utrapienie!
Gdy słońce błyśnie, nocy wyglądam,
Gdy noc nadeydzie, słońca pożądam,
A w sercu tłumię okrutne cierpienie!

Pamiętam żałobne chwile
Naytkliwszego rozłączenia;
Swiécą łezki zpod powiek! stałym się bydź silę,
Przeklinałem okrutny wyrok przeznaczenia!
«Kiedyż się zobaczymy?— Gdy zamkniem powieki,
«Pewnie nam wtedy losy zabłysną łaskawsze.—
«Ach żegnam cię, móy luby, żegnam cię na wieki!»
I ja rzekłem w rospaczy: «żegnam cię na zawsze!»
Więc zapomniy przyjaciela,
Którego smutek dotłoczy;
Chociaż nas czucie jednoczy;
Lecz świat na wieki rozdziela!
O! zapomniy o wszystkiém, rzuć nadzieje marne,
Na co żalem przecinać dni młodych osnowę?
Niech ci nigdy nie będą znane troski czarne,
Oby twoje strapienia na mą spadły głowę!
Bądź prawdziwie kochaną, wielbioną od świata,
Wiosnę twą niechay zdobią radość i uśmiechy!
Obyś mogła spokoynie pędzić wszystkie lata,
Obym tylko sam cierpiał za tkliwości grzechy!
Może! gdy dni twych dalszy snuć się będzie wątek,
Przyydziesz w mieysce, co tyle obudza pamiątek,
I rzekniesz przeniknięna nayczulszą żałobą:
«Ach czemuż kochając się nie żyliśmy z sobą!»

SPÓYRZENIE.

Na zdeptanych cnót ruinie,
Jeszcze tron prawdy się chwieje:
Skaził fałsz serca świątynie;
Wzrok prawdy słońcem jaśnieje;

Nie wykłamie postać, mowa,
Co występna dusza chowa.
Wyydzie na jaw utajenie;
Cóż grunt duszy, fałsz języka,
Do nayskrytszego taynika,
Wraz przed sąd świata odmyka?
Spóyrzenie tylko, spóyrzenie!

Uderzona smutków razem,
Młoda piękność, śród kościoła,
Klęcząc przed Boga obrazem,
I słówka wyrzec nie zdoła;
Wzrokiem tylko, pełnym troski,
Chcąc majestat zmiękczyć boski,
Kréśli całe swe cierpienie:
I już znikły z łona ciosy,
Cóż nad rzewnych skarg odgłosy,
Prędzey przebiło Niebiosy?
Spóyrzenie tylko, spóyrzenie!

Oto matka rozczulona,
Wzięła niemówlę z powicia,
A zawiesiwszy u łona,
Ten naydroższy przedmiot życia,
Twarz i czucia pełne oko,
Utopiła w niém głęboko,
I próżno długie milczenie,
Przerwać słowem usiłuje;
Ale co w chwili tey czuje,
Nie lepieyż od słów maluje
Spóyrzenie tylko, spóyrzenie!

W zawodzie rycerskiey chwały,
Zbierając po wieńcu wieniec,

Nie wierzy w serca zapały,
Niegodny serca młodzieniec,
W tym, spóyrzeniu złotowłosey,
Widzi otworem niebiosy,
Już tkliwe dobył westchnienie,
Po niém łzę słodkiey katuszy;
Cóż w nim obala i kruszy,
Cały hart męzkiéy wprzód duszy?
Spóyrzenie tylko, spóyrzenie!

Ah! jeśli w dalszéy kolei,
Ta, co me serce dziedziczy,
Za długie pasmo goryczy,
Da mi choć promyk nadziei.
Niechcę słać modły daremne,
Ani o słówko wzajemne,
Ani o jedno westchnienie,
Bylem miał wzgląd jey maleńki,
I nad blask żywsze jutrzeńki,
Duszy mey niebo i męki,
Spóyrzenie tylko, spóyrzenie!

Henryk Cieszkowski.

Wspomnienie na grobie. *Dumka.*

Gdy grób móy w cichey uyrzysz dolinie,
Gdzie tylko dziki mech rośnie;
Lub xiężyc blady nad nią przepłynie,
I drzewko zadrży żałośnie.

Ach zanóć, luba! tak o mnie tkliwie,
Gdy błyśnie wiosny poranek,

Jak brzmi ptaszyna na głuchey niwie,
Kiedy jéy zniknie kochanek.

Może ma dusza wtenczas tajemnie
Zstąpi tam gwiazdki promykiem;
Czyli przyleci tchnącym przyjemnie
Rodzinnym moim wietrzykiem.

Chociaż w tey chwili, spóyrzenie twoje,
Jak błyskawica na niebie,
Wznieci w mey duszy słodyczy zdroje,
Co tyle czuje dla ciebie!

Gdyby szczęśliwą taką moc miała,
Pewnieby z drogim twym cieniem
W zakryty dla nas kray poleciała,
Pojąc go wiecznie westchnieniem.

Michał Godlewski.

Odsiecz dana Wiedniowi, przez Jana III, króla polskiego, i wjazd bohatyrskiego obrońcy chrześcijaństwa, do tey stolicy. Wyjątek z drukującego się romansu historycznego, pod tytułem: Oblężenie Wiednia.

Wkrótce potém, upragniony wybawca, Król Sobieski, stanął z woyskiem swojém na ziemi Austryackiey. Xiążę Lotaryngii, chcąc się coprędzey z nim połączyć, zwinął swóy obóz i zamierzał ciągnąć ku Stockerens. Ale Turcy, wiedząc zapewne o powodach jego poruszenia, uderzyli nań ze wściekłością; odparł ich mężnie Xiąże, i niczém niewstrzymany daley się posuwał. W Hollebrun złączył się z Królem, który go przyjął z

szacunkiem, a gdy Xiąże chciał ku osobie królewskiey zachowywać prawidła etykiety, Sobieski rzekł do niego z uśmiechem: „Zostawiłem Króla w Warszawie; proszę mię uważać za przyjaciela, za towarzysza broni.” Potém przedstawił mu królewicza Jakóba, syna swego, który pierwszą odbywał kampaniją, i prosił, aby go nauczył szlachetney sztuki wojenney. Elektorowie Bawarski i Saski, dowodzący swemi woyskami, jakoteż znakomitsi jenerałowie austryaccy, wezwani zostali na radę, pod przewodnictwem Króla Polskiego i Xięcia Lotaryngii, na którey rozważano: iżby należało przeprawić się przez Dunay pod Tulnem, a potém do Wiednia udać się drogą wprawdzie naykrótszą, ale przykrą, przez góry Kahlembergu; czy też zrobić większe koło, lecz nie równiey łatwieysze, na Prezburg. Wielu oświadczyło się za tém ostatniém zdaniem, tym bardziey, iż można się było spodziewać, że Kara Mustafa dowie się o wszelkich poruszeniach woyska; będzie wszelkiemi siłami przeszkadzał przeprawie przez Dunay, a zostawiwszy woysku chrześciańskiemu drogę przez pooraną rolę, góry i wąwozy; upatrzy dla siebie naydogodnieysze stanowiska, zkąd go bardzo trudno przyydzie wyparować. Ale Sobieski znał nieprzyjaciela, z którym miał do czynienia; znał jego dumę i ślepotę. Bystry geniusz Króla, objął za pierwszym rzutem oka wszystkie okoliczności, i dla tego, stosownie do jego zdania, Xiąże Lotaryngii, a z nim i Elektorowie, zgodzili się, ażeby przeprawić się przez Dunay pod Tulnem, a ztamtąd naykrótszą drogą ciągnąć do Wiednia. Dano więc natychmiast woysku rozkazy; wysłano na wozach ponto-

ny i robotników , potrzebnych do naciągnienia mostu w oznaczoném mieyscu, a połączone woyska miały póyść przyśpieszonym marszem , aby sobie ułatwić przeprawę, nimby nieprzyjaciel opor stawić zdołał; ztamtąd powinni byli Austryacy śpiesznie dostać się na góry, i daley dążyć, w celu oswobodzenia miasta (*).

Król Jan wielce się ucieszył, gdy postrzegł w orszaku Xięcia Lotaryngii, ulubionego Szlatyńskiego , z którym się tak dawno nie widział. Wiedział Król, że Sandor został raniony w poje dynku: gdyż Xiąże wyprawując zaufanego człowieka do Króla , z depeszami od Komendanta Wiednia, doniosł o powodach, które go zatrzymały. Nie zupełnie jeszcze uleczony z odniesioney rany, padł do nóg Sobieskiemu, prosząc, aby go użył do nayczynnieyszey rozprawy. Już wszystko było przygotowane do marszu. Gościniec z Pragi i cała okolica, okryte były woyskami chrześciańskiemi. Rozwinięcie kolumn uskutecznione zostało z takim pośpiechem i w takim porządku, że w Wiedniu zgoła nie wiedziano o śpieszném zbliżeniu się woyska; gotowano się nawet do nayzaciętszey walki: gdyż wszystko kazało się spodziewać , iż nieprzyjaciel przypuści do baszt szturm powszechny. Na ulicach, pomiędzy bramami Schotten a Burg, gdzie się spodziewano, iż Turcy wywrą całe swe siły, co dziesięć kroków, wzniesiono okopy, obwarowane palisadami, i osadzone artylleryą, których bronić mieli , nietylko żołnierze , ale mieszkańcy, studenci i ochotnicy. A że nie było dosyć drzewa do robienia

(*) Wszystko, co się tycze pochodu woyska, bitwy, zdjęcia oblężenia, jest ściśle historycznym. (*U. A.*).

palisad, właściciele przeto większych domów prosili, aby na ten cel pozrywano ich dachy. Powydzierano też kraty żelazne u okien, i użyto ich do wzmocnienia palisad. Lud tłumem cisnął się na dzwonice i wieże, aby obaczyć: czy nienadchodzą ich wybawiciele. Nagle postrzeżono wielki ruch w obozie tureckim; bataliony tureckie zaczęły się rozchodzić w rozmaitych kierunkach; agowie i wyżsi oficerowie zewsząd pośpieszali; zwinięto oboz na Leopoldsztadzie, i wszystkie prawie woyska zwróciły się ku Winneberg.

Podczas tego poruszenia, nie przestawał nieprzyjaciel dawać ognia do miasta, i min zapalać. Ciągle też strzelając do baszt Lewel i Burg, całkiem prawie zniszczył fortyfikacye z tey strony: co zagrażało miastu naywiększém niebezpieczeństwem.

W tém o godzinie drugiey z południa, 11 września, posłyszano wystrzał z działa obok kapliczki na Leopoldbergu. Turcy, blizko tego mieysca w bojowym szyku stojący, strasznym odpowiedzieli ogniem. Wkrótce zdawało się, że na górach ukazały się oddziały woysk chrześciańskich. Nieprzyjaciel podwajał attak do bastyonów; obywatele dobywali ostatnich sił ku obronie: szło tu o życie lub śmierć, noc ta miała los ich rozstrzygnąć: dłużey bowiem i jednego dnia utrzymać się nie było można.

Okropna noc z d. 11 na 12 września, już była rozpostarła swe czarne opony nad miastem i nieprzyjacielskim obozem. Czuwał jeszcze Kara Mustafa, w smutnych zatopiony myślach. Naprzeciw tych murów, które zachwiały się od śpižów, ale zdobyte bydź nie mogły, widział pałac Cesa-

rzów, znacznie już od kul jego uszkodzony, lecz jeszcze trwały w posadach, jak tron, w nim będący. Niezliczone kopuły świątyń prawey wiary, wznosiły się dokoła wspaniałey wieży Śgo Szczepana. Z jakże płonną nadzieją dumny ten Wezyr, rozłożył się obozem pod murami miasta, przeszło we 200,000 żołnierza, omamiony przywidzeniami astrologów, obietnicami Tekelego i Zriniego, własną wreszcie dumą i zaślepieniem! Nie przypuszczał nawet tey myśli, aby mu zdołano stawić opór; pewnym był, że zburzy stolicę państwa, zniszczy monarchią austryacką, obali potęgę Rzymu i religii Chrześciańskiey, a to wszystko skutkiem swoich powodzeń i talentów wojennych. Lecz cóż dotąd uczynił? Te wieże, które chciał ze szczętem zburzyć, stały jeszcze niewzruszone; pałac cesarski, po którego gruzach, chciał sobie utorować drogę do Watykanu, jeszcze był niezachwiany; woyska jego zniechęcać się zaczęły; janczarowie usilnie domagali się rozpuszczenia, obowiązawszy się tylko do sześciotygodniowey służby pod miastem oblężonem; znaczna część jego woyska, leżała jeszcze niepogrzebioną na przyległych polach. Powielekroć posyłał do Stahremberga, prosząc o rozeym na dni kilka, dla pogrzebienia poległych; ale komendant, w obawie zdrady, stale się temu sprzeciwiał, i jak tylko Turcy tém się zajęli, umiał korzystać z tey chwili; jakož, wnet silne posłał wycieczki, i cały ogień z szańców, obrócić na pracujących i orszaki pogrzebowe. Usiłowanie Kara-Mustafy, aby przeszkodzić połączeniu się woyska Polskiego z Austryackiém, opoźniło je tylko, i przyprawiło go o znaczną stratę. Zbliżała się

chwila odsieczy, a Mustafa mógł widzieć wydartym sobie owoc tylu jego starań.

Nie! nigdy! wykrzyknął z zapalczywością; muszę bydź panem Wiednia; jestto klucz do moich dalszych zamiarów. Wydał więc znowu rozkaz, ażeby równo ze świtem, zaczęto bombardować miasto, bez względu na zbliżające się woyska wybawcze, które mniemał, że łatwo zatrzymać zdoła licznemi swojemi zastępy. Jeszcze się mienił przewyższającym w sile i do zwycięztwa przeznaczonym; spodziewał się, że mimowolnie woysko chrześciańskie będzie musiało bydź świadkiem zniszczenia do gruntu szańców Wiednia i wzięcia szturmem tey stolicy.

Takto człowiek, w dumie zapamiętały, często się łudzi,i mniema, że dostępuje tryumfu, nie wiedząc, iż za chwilę upadek mu zagraża.

Jeszcze Wezyr rozmyślał w namiocie pociemku; zbliżenie się woysk chrześciańskich podwoiło czuyność jego oficerów; wszędzie pozapalano ognie; wszystko było w ruchu w obozie tureckim. Uchylił Wezyr firanki u swojego namiotu, blask rzęsisty ognia oświecał przed nim nieszczęśliwe miasto, do którego wściekli jego żołnierze ciągle szturmowali, a które blizkiém już było zdobycia. Nagle postrzegł z dziką radością jaskrawe światło, wymykające się z wieży ś. Szczepana: byłyto race, przez oblężonych puszczane, na znak ostatniey ich niedoli. Na ten widok znanego mu hasła, po frasunku uczuł w sobie radość. Wszakże ta krótko trwała: bo podobne światło postrzegłszy na górze między północą a zachodem, wyskoczył z namiotu, ażeby się lepiey przypatrzyć zkądby pochodziło. Spot-

kał niewolników, co tchu biegących z uwiadomieniem, że pęk rac puszczono z Kahlembergu, i w tymże czasie usłyszał dwa wystrzały z dział, na które odpowiedziano trzema wystrzałami na basztach wiédeńskich. Byłoto znakiem, że Austryacy mają rozpocząć walkę. Kara-Mustafa z wściekłości zgrzytał zębami, i zaledwie mógł dać odpowiedź baszom i agom, którzy zbiegli się dla odebrania jego rozkazow w tak niebezpiecznem położeniu.

— Nie daję innych rozkazow, rzekł do nich z dumą, nad te, które przed dwoma miesiącami wydałem. Przypuścić szturm do miasta, wyciąć w pień, i choćby w perzynę obrócić w oczach woyska Austryackiego. Napróżno baszowie, Budzyński i Skutaryyski, wystawiali mu płonność tego zamiaru; Wezyr z zaciętością obstawał przy swojem, i z gniewem ich odprawił.

Któż zdoła opisać radość mieszkańców Wiédnia, kiedy się uyrzeli pewnymi pomocy? „Ci tylko, którzy przez dziewięć tygodni doświadczali naywiększych okropności oblężenia, mogą sobie wyobrazić to zachwycenie, z jakiem uyrzeli odradzającą się nadzieję i nadchodzącą pomoc.” Sąto słowa jednego z owoczesnych pisarzy. Pomyślna ta nowina z niewymówną szybkością rozniosła się po całém mieście; mieszkańcy wszelkiey płci i wieku wybiegali na ulice; cisnęli się tłumami na dachy, wieże, skąd można było widzieć w całym blasku ognie, rozniecone przez woyska chrześciańskie, na wszystkich wierzchołkach gór okolicznych, począwszy od góry Leopolda, aż po za Dornbach. Radość przejęła serca wszystkich; osoby cale sobie nieznajome, nayzawziętsi nawet

26*

nieprzyjaciele, ściskali się za każdém spotkaniem; chorzy nieczuli bolów; strapieni zapomnieli o smutku; całe woysko, żołnierze, ochotnicy, milicya, biegły na wały, domagając się z krzykiem dozwolenia wycieczki, i ledwo roztropność Stahremberga mogła powściągnąć ich zapędy. Scalvinoni pałał chęcią stoczenia walki w obecności swoich spół-obywateli, chcąc oraz przed tą, która jego duszę zaymowała, świetnym odznaczyć się czynem. Chociaż nie widział Katarzyny, od chwili spotkania się z nią u Urszulinek, usiłował jednak dowieśdź jey swego przywiązania, tysiącznemi grzecznościami, i dostarczając wszystkiego chorym, w jey pieczy zostającym. Teyże nocy, postrzegłszy znaki pocieszające, natychmiast posłał do Pani Praising, z uwiadomieniem o tak pożądaney nowinie. Pomimo, że już poźno w noc było, damy jednak były jeszcze zajęte krajaniem dla chorych reszty bielizny, bez którey się obeyśdź mogły. Zgubne położenie miasta, opoźnienie pomocy, oczekiwanie co chwila powszechnego szturmu i weyścia nieprzyjaciół, tak w domu Pani Praising jako i we wszystkich domach, było celem rozmowy. Obiedwie stare baronowe i Pani Dunerwald niezmiernie były strapione; lubo każda z innych powodów. Pani Praising, spokoynie poddawała się losowi; Pani Volkersdorf drżała i jęczała; Julia, rozmyślała nad środkami, jakichby się chwycić należało w ostatniey rozpaczy. Sama tylko Katarzyna, nie dzieliła ani ich obawy, ani smutku. Pewność, że Sandor żyje; nadzieje, któremi ją pokrzepiał w liście, tak ożywiły w niey ducha, że niewątpiła o prędkiem oswobodzeniu miasta; a kiedy jey towarzyszki traciły otuchę,

tak często zawiedzioną, ona pokładała niezachwianą ufność w Bozkiem miłosierdziu, i usiłowała ją przelać w swoje towarzyszki. Jeszcze o tém rozmawiały, gdy w tém dał się słyszeć potróyny wystrzał z działa.

— Coby to znaczyło? krzyknie przestraszona Julia; mieliżby Turcy w nocy szturm przypuszczać!

— O Boże! gdzież się skryjemy? zawoła Pani Volkersdorf; pomordują nas!

— Może to zapalono miny, rzekła Pani Praising.

— Nie, kochana mamo, odpowiedziała Julia; to huk armat.

— Może to nasi wybawcy, dodała Katarzyna, wznosząc oczy do nieba. W chwili potém usłyszały śpieszny chód na korytarzu, i gwar na ulicy. Drzwi się nagle otworzyły; wszedł Don Miguel, za progiem jeszcze wołając: — Już są tam! Już są tam! przybyli Austryacy i Polacy.

— Wielki Boże! czy podobna? zawołały wszystkie razem.

— Może się mylisz, Don Miguelu, dodała Pani Praising.

— Nie, Pani! odpowiedział starzec radością ucieszony, adjutant Komendanta Pan Scalvinoni kazał Paniom oznaymić, że woysko sprzymierzone jest już na górze Kahlemberg, i dało już umówione znaki. Całe miasto wié o tém.

— Niech będzie chwała Naywyższemu! rzecze Pani Praising. Córko! dzieci moje! Julia rzuciła się w objęcie matki; obiedwie nie mogły słowa wymówić: Pani Volkersdorf także padła na

ręce córki; stary Don Miguel, klęcząc składał korne dzięki Bogu zwycięztwa.

Wiadomość ta wszędzie równy sprawiła skutek. Nikt się spać nie kładł; każdy od wielkiego wzruszenia zasnąćby nie mógł w oczekiwaniu tak ważnego wypadku. Nadeszło wprawdzie woysko chrześciańskie, ale jeszcze nie zwyciężyło. Pani Dunervald myślała o mężu; Katarzyna o kuzynie; obie równey doświadczały niespokoyności. Julia kazała prosić oficera, dowodzącego oddziałem w bliskości Maria-Stiegen, ażeby jey pozwolił weyść na wieżę. Katarzynie także się zachciało póyść razem; na co z wielką nader trudnością zezwoliła matka. Obie przyjaciółki, przechodząc przez ulice, na których wielki zgiełk panował, od natłoku mieszkańców, niecierpliwie pragnących dowiedzieć się o czém stanowczém i uyrzeć swoich wybawców, napotkały tłumy uzbrojonych mieszczan spieszących na wały z odwagą, zapałem i nadzieją. Weszły wreszcie na wieżę; tuż prawie, pod nogami swemi widziały obóz Turecki, i ich ognie złowrogie; lecz i po lewey stronie widziały na górach ognie, których blask słodką w sercach wzniecał otuchę. Tamto byli: jenerał Dunerwald i Sandor. Jakże gorące modły zasyłały do nieba, o zachowanie życia naymilszych im osób!

Równo ze świtem, zagrzmiała artylerya nieprzyjacielska. Kara-Mustafa, zacięty w swoich przedsięwzięciach, myślał tylko o zdobyciu Wiédnia szturmem, w oczach tych, którzy się już zbawcami tego miasta mienili. Wszakże taż jutrzenka, która miała przyświecać zamachom muzułmanów, była hasłem dla woyska chrześciańskie-

go, do rozpoczęcia wielkiego dzieła. Że to było w niedzielę, w dniu poświęconym Bogu; przeto jak przystało na prawych bohaterów chrześciańskich, wszyscy przygotowali się do walki pod chorągwią krzyża, gorącemi i uroczystemi modłami.

Ledwo się rozwidniać zaczęły równiny Węgier, i błyszczeć wody Dunaju; Król Sobieski wyszedł z namiotu, gdzie noc przepędził nie na spoczynku, lecz na rozważaniu; teyże prawie chwili Xiążę Lotaryngii przybył ze swoim sztabem, na radę wojenną, która się odprawiła w napół zburzonym klasztorze Kamedułów. Sobieski wyszedł do nich z przyległey celi. Chociaż jego mała uroda i zbyteczna otyłość, nie odpowiadała wyobrażeniu jakie ludzie mają o bohatyrach; wszelako ogień, który jaśniał w jego oczach, szlachetny wyraz twarzy, żywość poruszeń, wszystko miało w nim cechę geniuszu. Ubrany był w kontuszu z rękawami na wyloty, u pasa wisiała krótka szabla ze złotą rękojeścią; na podstrzyżoney głowie miał czapkę polską. Otaczał go liczny i świetny orszak, złożony z naypierwszych urzędnikow jego państwa.

Zgromadzenie, z uszanowaniem uszykowało się przed nim w półkole. Powitawszy Król wszystkich z uprzeymą szlachetnością, zabrał głos, i w krótkiey lecz dobitney mowie, przypomniał im, że w tym dniu stanowczym, mają walczyć nie tylko za swojego Monarchę, oyczyznę i sławę, lecz oraz ku chwale Boga, i wybawieniu chrześciaństwa. Potém, w towarzystwie wszystkich udał się do kaplicy Leopoldsbergu, gdzie wielebny oyciec Marek Avianus, zakonu Kapucynów, znany ze swey pobożności, miał mszą uroczystą. Król So-

bieski sam mu służył do Mszy, z naywiększą pokorą złożywszy u podnoża ołtarza Wszechmocnego, swą koronę i dostojeństwo. Po Mszy, Król przyymował z rąk oyca Marka kommunią ś.; a potém wezwał syna swego, kazał mu uklęknąć przed ołtarzem, pasował go na rycerza, i własną ręką uzbroił.

Tak pokrzepieni pobożnemi uczuciami, Król i naczelnicy woysk wyszli z kaplicy; każdy się udał na swoje stanowisko, aby przelać w żołnierzy odwagę i zapał, z którym zaprzysiągł u ołtarza, bronić wiary i oyczyzny. Woyska niecierpliwie pragnęły spotkać się z niewiernymi. U stop ich leżała stolica Austryi, okryta mgłą ranną, i grubym dymem artylleryi tureckiey; łagodny powiew wiatru wschodniego donosił do ich uszu huk dział i moździerzy, ostrzegając, że nie mają i chwili do stracenia.

Lewém skrzydłem, złożoném z Austryaków i Sasów, dowodził Xiąże Lotaryngii; środkiem, Xiąże Waldeck i elektor Bawarski; Sobieski na czele Polaków zaymował prawe skrzydło, które się rozciągało wzdłuż gór, aż do Dornbach. Pięć wystrzałów z armat było hasłem do boju, a szeregi zaczęły spuszczać się na równinę. Wszyscy baszowie zbiegli się do namiotu Wielkiego Wezyra, celem odebrania rozkazów względem bitwy, którey nie można było uniknąć. Kara-Mustafa słuchać ich nie chciał. Wiédeń! Wiédeń! było jego odpowiedzią, bomby, kule, szturm, ógień na cztery rogi miasta! Chan Turecki nalegał, aby cofnąć całe woysko, użyte do oblężenia, a stawić czoło przeciwko nadciągającemu nieprzyjacielowi. Cochwila nowe przychodziły donie-

sienia o sile sprzymierzonych, i szybkości ich marszu. Kara-Mustafa pienił ze złości, tarzał się po ziemi, rwał włosy i brodę. Udało się wreszcie baszy Diaberskiru, uspokoić go, i znaglić do ukazania się na czele woyska. Wtenczas ze wściekłością porwał chorągiew proroka; Osmanowi Oglu baszy, poruczył dowództwo nad prawem skrzydłem, leżącém pod Neudorf; lewe skrzydło, pod dowództwem baszy Peterwaradinu skierował przeciwko Polakom, w bliskości Herrnals; Wezyr dowodził środkiem, i chciał koniecznie, ażebyKiaja Bey pozostał w przykopach i utrzymywał ciągły a straszny ogień do miasta, które, tak już było dymem okryte, iż wybawcy niemogli rozpoznać w którey leży stronie, a mieszkańcy, do ostatniey chwili, w nayokropnieyszey zostawali niepewności.

Walka zaczęła się naprzód na lewém skrzydle woyska chrześciańskiego; Turcy zapalczywie bronili pozycyi śród winnic, tak, iż Austryacy, zwolna tylko posuwać się mogli. Wszelako ku południowi opanowali równinę. Wkrótce całe woysko chrześciańskie zebrało się i uszykowało w półkole, od Dornbach aż do Dunaju; rozpoczęła się bitwa na wszystkich punktach. Na lewém skrzydle tureckiém, wypadek jey, przez niejaki czas był wątpliwym. Ibrahim basza odparł Polaków; lecz Sobieski, który własną ręką zabił wielu niewiernych, i buncżuk zdobył, z taką gwałtownością uderzył na baszę, iż go do cofnienia się zmusił; tymczasem Xiąże Lotaryngii, przełamawszy prawe skrzydło Turków za Dublingiem, zdobył wielką bateryą, i niewstrzymany ogniem dziesięciu armat, który Turcy ciągle sypali z o-

kopu, podziśdzień noszącego ich nazwisko, posunął się aż do Weinheim. Polacy, z mężnym na czele Monarchą, ścigali pierzchającego nieprzyjaciela. Sandor, który się potykał ze swoim pułkiem niedaleko Króla, przedarłszy się przez szyki muzułmanów, zbliżył się do miasta. Ustał ogień artyllery Tureckiey, widziano już z wież miasta, zbliżających się sprzymierzeńców, a rozproszonych Turkow, i wkrótce usłyszano powszechną salwę radości, ze wszystkich dział na wałach. Teyże chwili otworzyła się brama Schauffen, i wysypała się załoga, niecierpliwie pragnąca spotkać się z nieprzyjacielem. Niepodobna było w murach dłużey nieczynnych zatrzymać. Scalvinoni, pełen zapału, otrzymawszy nareszcie pozwolenie od swego jenerała, na czele oddziału, uderzył nagle z boku na ustępującego nieprzyjaciela. Na wszystkich punktach, z jednakiem prawie powodzeniem szła walka. Polacy już byli doszli aż do stoku. Kara-Mustafa jeszcze raz zatknął chorągiew Mahometa przed swoim namiotém, i wydał rozkaz, ażeby każdy wierny muzułmanin stawał pod tym świętym znakiem. Zebrało się dosyć żołnierzy, i uformowało znaczną massę woyska. Wielki Wezyr, stanąwszy na ich czele, ruszył przeciwko Polakom, którzy nie przestawali pomykać się na przód z bezprzykładném męztwem; gdy tymczasem, z drugiey strony, załoga wpadła na Turków, broniących się z rozpaczającą odwagą. Austryacy, wysypawszy się z miasta, bliżsi byli połączenia się z Polakami, dokazującymi cudów waleczności: bo ich tylko rozdzielała garstka zażartego nieprzyjaciela. Sandor, śpiesząc na ich czele, poznał Scalvinoniego,

swego rywala i przeciwnika, zewsząd od Turków oskoczonego. Naywiększe niebezpieczeństwo groziło młodemu adjutantowi, oddalonemu od swego oddziału; próżno chciał się wymknąć z tłumu nieprzyjaciela spinając konia ostrogami; gdy w tém, z zadziwieniem, postrzegł śród muzułmanów, oficera ułanów, który szablą usiłował utorować sobie drogę ku niemu z narażeniem własnego życia. Scalvinoni uczuł w sobie podwojone męztwo, a tymczasem Szlatyński ze swoimi, rozpędził Turków. Wtedy dopiero poznał Scalvinoni swojego wybawcę. Co widzę? tyżeśto wspaniałomyślny Szlatyński! ty mi ocalasz życie! Niemógł więcey powiedzieć, bo trzeba było ścigać nieprzyjaciela. Okiem wdzięczności spóyrzał na swojego obrońcę i puścił się do swey chorągwi. W teyże chwili usłyszano odgłos trąb i bębnow z lewey strony, na stoku: byłto Xiąże Ludwik Badeński, który na czele woysk Wirtemberskich wpadł aż do kontreskarpy, przed bramą Schauffen, i attakował Turków w ich okopach. Wezyr trzymał się jeszcze przez półgodziny w Sollewich, z wyborem żołnierza; lecz wyparował go Sobieski po zaciętey walce; nad wieczór zaś, gdy słońce zniżało się ku zachodowi, doreszty szczęście Turków opuściło. Zaledwo zdołał Wezyr uyść przed woyskiem chrześciańskiém; co może uczynił dla zwleczenia tylko chwili śmierci: gdyż był pewnym, że skoro Sułtan dowie się o jego porażce, przyszle mu nieszczęsny sznurek. Jenerał Dunerwald, dokazał także cudów waleczności, w tym dniu pamiętnym. Dowiedziawszy się, że na przyległey kępie, Turcy mordowali nieszczęśliwych a bezbronnych jeńców chrześciańskich,

z obawy, ażeby im nie utrudniali ucieczki, rzuca się wpław na koniu do Dunaju; żołnierze idą za przykładem wodzą; dostają się na kępę i wielu jeńcóm wracają wolność i życie. Wszyscy, zaś ich mordercy albo wycięci zostali, albo potonęli.

Tymczasem Sobieski z Polakami wszedł do obozu wielkiego Wezyra, gdzie zabrał wszystkie jego skarby, konia, i kosztowne pojazdy. Król przepędził tę noc w jego namiocie. Po dwóch dniach nagłego marszu, po trudach i znojach tego dnia wiekopomnego, Sobieski ze swym orszakiem i woyskiem potrzebował chwili spoczynku: ułatwiło to ucieczkę Turków, których ścigała część tylko woyska, do Fischament. Tegoż wieczora Xiąże Lotaryngii wyprawił swego adjutanta, hrabiego Auersperg, do Durrenstein, z doniesieniem zbliżającemu się do stolicy Cesarzowi, o chlubném zwycięztwie. Tak więc przy pomocy Boga, w dniu na jego chwałę poswięconym, wzięły koniec klęski chrześciaństwa; Wiedeń został oswobodzony, a zwolennicy Mahometa, nazawsze postradali swe zuchwałe nadzieje.

Przez całą noc zwycięzcy palili ognie w obozie Tureckim i około miasta: byłyto prawdziwe ognie radości, na których płomienie mieszkańcy patrzyli z inném cale uczuciem, aniżeli dnia poprzedzającego. Lecz Stahremberg unikając nieporządku, wydał surowy rozkaz, ażeby nikt niewychodził za obwód miasta, i dopiero ze wschodem jutrzenki bramy otworzyć kazał. Każdy więc musiał hamować swoję niecierpliwość. Ci, którzy drżeli jeszcze z obawy o drogie przedmioty swych uczuć, jak Julia i Katarzyna, przepędzili całą noc w naywiększey niespokoyności, którey

nawet radość oswobodzenia powszechnego nie mogła przytłumić. Dnia 13 września zrana, niezmierny tłum ludu, wpadł do obozu Tureckiego. Nayniecierpliwsi drapali się przez bastyony na pół zniszczone i fossy, aby czém prędzey uyrzeć dawne stanowisko nieprzyjaciół. W obozie, znaleziono niezliczone skarby, składy wszelkiego rodzaju, żywność, sprzęty, kleynoty, broń i przeszło piętnaście tysięcy namiotów. Łakome pospólstwo, chcąc sobie wynagrodzić poniesione straty, rzuciło się do rabunku. Hrabia Stahremberg, ze swym sztabem, udał się do Króla Polskiego, który przyjął bohatyrskiego obrońcę miasta, jak przyjaciela, jak brata; potém wyjechali z Xięciem Lotaryngii, dla obeyrzenia fortyfikacyy. Poranek był ciepły, a naypięknieysze słońce oświecało dzień oswobodzenia.

Gdy tak chciwość i ciekawość wyprowadzały z miasta wszystkich prawie mieszkańców, miłość wiodła do niego młodzieńca z większą daleko niecierpliwością. Sobieski wiedział o stosunkach Sandora w Wiédniu. Równo ze dniem, kazał go do siebie zawołać, oddał naywiększe pochwały męztwu, z jakiem dowodził swey kompanii, i ocalił życie adjutantowi jenerała Stahremberga; potém zapytał z uśmiechem, azaliby nie miał ochoty udać się do Wiédnia. Sandor skłonił się zarumieniony.

— Próbuy szczęścia, przyjacielu, rzekł Król; widzę, jaki natłok ciśnie z miasta z narażeniem się na złamanie karku: zapróbuy czy ci się tam weyść nie uda; pozwalam.

— Nayjaśnieyszy Panie! Królu nayukochańszy! zawołał Szlatyński w uniesieniu, pozwalasz mi!

— A jeżeli tego nie dosyć, więc rozkazuję. Idź

zapewniy swą kuzynkę, Pannę Volkersdorf, o moim dla niey szacunku, za jey szlachetne uczynki w czasie oblężenia.

— Sandor padł do nóg Królowi, ucałował rękę, i odszedł. Z trudnością przebywszy głęboką fossę, przedarł się przez okopy, jeszcze zawalone ofiarami wczorayszey bitwy.

Kiedy się takiém poili szczęściem, przybył do Szlatyńskiego posłaniec od Króla z uwiadomieniem, że Król z Xięciem Lotaryngii ma odprawić uroczysty wjazd do Wiédnia, i znaydować się u Augustyanów na *Te Deum.* Sandor pożegnał ciotkę i kuzynkę, przypasał pałasz, i z uśmiechem przydał odchodząc, że Nayjaśnieyszy Pan, wiedział gdzie go kazać szukać. Katarzynie łatwo udało się namówić matkę, ażeby była u Augustyanów na tak uroczystym obchodzie; a Pani Dunerwald podjęła się je zaprowadzić.

Orszak zwycięzców wjeżdżał bramą Stubenthor: gdyż inne były jeszcze zatarasowane; przed zwycięzkim Królem, powiewały, jako trofea, chorągwie Austryackie i Polskie, podziurawione kulami; bunczuki na Turkach zdobyte i prowadzono konia Wielkiego Wezyra w sutym rzędzie. Obok Monarchy jechali na dzielnych rumakach, Xiąże Lotaryngii, hrabia Stahremberg, Elektor Bawarski Jakób, Królewicz Polski, oraz wszyscy jenerałowie Austryaccy i Polscy, bez różnicy stopnia; za nimi zaś oficerowie głównego sztabu. Szlatyński jechał obok Scalvinoniego w naylepszey z sobą zgodzie. Tłum ludu otaczał ten świetny poczet; każdy starał się z blizka widzieć bohatyra dnia tego, Króla Polskiego; dotknąć jego konia, szat lub szabli, aby mógł kiedyś powiedzieć,

że się otarł o Wielkiego Sobieskiego, wybawcę Wiednia; zewsząd się rozlegały okrzyki radośne; uczucie szczęśliwości przenikało serca mieszkańców, dniem wprzódy naycięższém przywalonych utrapieniem.

Stanąwszy przed kościołem, Król. a za nim wszyscy, zsiedli z koni. W chwili, gdy wchodził do świątyni, uderzono we wszystkie dzwony, dotąd oniemiałe. Katarzyna znalazłszy dla siebie i matki bardzo dogodne mieysce na galeryi, długi czas przypatrywała się Monarsze swego ukochanego Sandora; lecz skoro postrzegła kuzyna, nie spuściła już z niego oka. Wszyscy ci wsławieni rycerze, padli na kolana, i gorące składali dzięki Bogu, za tryumf chrześciaństwa. Po skończoney Mszy ś., Król zbliżył się do Ołtarza, i sam zaintonował *Te Deum*: a huk trąb i kotłów połączył się z głosem wszystkich przytomnych. Wielebny oyciec Avianus wszedł na ambonę, i miał kazanie, do którego bardzo zręcznie dobrał tema: „*Był Człowiek posłany od Boga, któremu imie było Jan.*" Gdy wyrzekł te słowa, wszystkich oczy zwróciły się na *Jana Sobieskiego*.

Podczas *Te Deum*, ciągle dawano ognia że trzydziestu armat, postawionych na wałach.

Król wyszedł z kościoła, z wyrazem wesela i wzruszenia na twarzy; ściskał każdego kto się do niego zbliżył. Potém z głównym sztabem i wszystkimi jenerałami, był na obiedzie u hrabiego Stahremberga. Tymczasem mieszkańcy Wiédnia cisnęli się do obozu Tureckiego; jedni przez ciekawość, inni dla dokończenia rabunku; znaleziono tam niemałe skarby, które wynagrodziły w części ludowi poniesione straty.

Wkrótce, pośród tego tłumu, ukazał się biskup Collonits, otoczony wielą duchownymi i znakomitszymi urzędnikami stolicy. Kolszucki odkrył mu w obozie skarby całe inne; w krótkim czasie zebrał on więcey jak pięćset sierót chrześciańskich, tułających się między namiotami okrutnych nieprzyjaciół, i od nikogo nie mających pomocy. Dla pobożney i dobroczynney duszy, była to zapewne zdobycz naykosztownieysza, godna wielkiego człowieka. Kazał ich zaprowadzić do miasta, miał o nich staranie, przyodział, żywił, nauczał, i nayświetnieyszą zyskał nagrodę swey cnoty w tém uczuciu, że tyle niewinnych istot ocalił, i na łono społeczności przywrócił.

Wieczorem, Król Sobieski wrócił do swego obozu pod Ebersdorf. Powietrze na około miasta było zepsute, dla mnóstwa trupów niepogrzebionych na polu bitwy. W tym celu przedsięwzięto stosowne środki. 14 września, Cesarz Leopold, powrócił wodą do Nussdorf; Król, Xiąże, i Elektorowie wyjechali na jego spotkanie. Po odbytym wjeździe do stolicy, Biskup Collonits miał wielką mszą i śpiewane było *Te Deum* w kościele śgo Szczepana. Leopold dawszy wysłuchanie wszystkim jenerałom, ministrom i t. d., wyjechał potém z Wiednia, obawiając się złego powietrza.

Sobieski z woyskiem swojém udał się w pogoń za Turkami, do Węgier. Sandor towarzyszył mu aż do Oran, skąd mu Król pozwolił wrócić do Wiédnia, obiecując wkrótce zupełnie go uwolnić od służby, aby dogodziwszy skłonności swego serca, mógł służyć swemu Monarsze, i oyczyznie.

KONIEC TOMU IIIGO.